

mas. 12442/4/32  
301

# P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV \* WARSZAWA \* SOBOTA — CENA 50 GR. — 8 SIERPNI 1936 R. \* NUMER 32 (149)

TREŚĆ: MARIAN DESLOGES: Psychologizm w nauce o literaturze \* WŁADY-  
SŁAW SEBYŁA: \* \* \* \* MARIAN PIECHAL: O t. zw. „literaturze“ w plastyce \* LEON  
CHWIŃTEK: Kilka słów o kulturze duchowej Wiednia \* JÓZEF GOŁĄBEK: Poezja zapo-  
mnianego ludu \* ZBIGNIEW KASIŃSKI: Dwa wiersze \* JERZY MARLICZ: Pierwsza



wyprawa „Batorego“ \* JÓZEF ROSSOWSKI: O miejsce enklityk w zdaniu \* K. NITSCH:  
Wyjaśnienie \* WŁ. SEBYŁA: Poezja \* ZOFIA MIANOWSKA, EWA KORZENIEWSKA,  
WŁODZIMIERZ PIETRZAK: Powieść \* LUDWIK FRYDE: Teoria literatury \* ADUZ:  
Spojrzenia w rzeczywistość \* OTTO FORST de BATTAGLIA: List do Redakcji.

## PSYCHOLOGIZM W NAUCE O LITERATURZE

(UWAGI KRYTYCZNE)

I

Jedną z głównych przyczyn i podstaw tendencyj psychologizacyjnych w estetyce jest często cytowany fakt występowania różnych reakcji, jakie w duszy odbiorcy może wywołać ten sam przedmiot dany w doświadczeniu empirycznym. Można bowiem raz ten sam przedmiot przeżywać jako przedmiot estetyczny, kiedy indziej lub przez kogo innego percypować go odmiennie, z punktu widzenia teoretycznego, lub praktycznego. Również przeżycie estetyczne tego samego przedmiotu może w odmiennych percepcjach różnić się nie tylko co do drobnostek, ale i w zasadniczych cechach. Przedmiot jakoby pozostaje ten sam, zmienia się tylko nasza postawa, a taka niemotywowana ze strony przedmiotu zmiana nastawienia zachodzi nie tylko wobec motywów przyrody, ale nawet wobec dzieł sztuki. W takiej sytuacji i przedmiot dany w różnych, różniących się od siebie przeżyciach, zatracą swój niezmienny charakter, skąd dalszy wniosek, że jednego, tego samego przedmiotu w ogóle nie ma.

Wobec tego psychologizm zakłada, że odpowiedzi na pytanie o charakterze, istocie i roli sztuki, oraz obszerniejszej od niej dziedziny estetyki należy szukać w badaniu przeżycia, a nie w zależności od przedmiotu, który je wywołuje. Tak więc z tego punktu widzenia przedmiotem sztuki i nauki o sztuce stają się jedynie procesy rozgrywane się w duszy odbiorcy, sama zaś estetyka zamienia się w rozdział psychologii.

Takie stanowisko znajduje tereny szczególnie wdzięczne dla rozwinięcia swych tez i metod w dziedzinie sztuk „czasowych“, t. j. w muzyce i literaturze. Cechy i rola przeżycia w literaturze może mianowicie przydać dalsze szczególne racje, przemawiające jakoby za słusznością takiego poglądu. Szeroko bowiem rozpowszechnia się twierdzenie, że dzieło literackie jest nam dane jedynie jako przeżycie psychiczne, że — co ważniejsze — dzieło literackie nie istnieje, o ile nie stanie się naszą duchową własnością, że, dalej, przedmiotem badania w zakresie analizy dzieła literackiego jest przede wszystkim całość psychiczna dana bezpośrednio jednostce percypującej.<sup>1</sup>

Tezy te przesuwają właściwy przedmiot badań dzieła literackiego od zawartości tekstu i systemu podniet w nim danych, które wywołują szczególnie proces w duszy odbiorcy, ku samemu procesowi, ograniczając go nawet do niektórych szczególnych składników, lub rozumiejąc go dość jednostronnie. Jakkolwiek w praktyce badań literackich, szczególnie w ostatnich czasach, metoda oparta na takim poglądzie na dzieło występuje rzadko kiedy w czystej, skrajnej formie, wyłączając zupełnie z badań przedmiot rozumiany jako system podniet, jako przedmiot obiektywnie dany, — to jednak daje się zauważyć zależny od niej brak dążności do badania przedmiotu należyte wyodrębnione, do badania dzieła w jego ściśle określonej jakości i zawartości, oraz brak szukania związków, jakie zachodzą między tak obiektywnie pojętym przedmiotem a przeżyciem. Związki te odpowiednio przedstawione potrafiły przywrócić należne znaczenie przedmiotowi. Metoda taka, dzięki której zawsze w analizowanym dziele muszą się znaleźć elementy

przeżycia, z zakresu subiektywnych, osobistych reakcji, nie może spełniać należycie postulatów naukowego badania dzieła literackiego,<sup>2</sup> a postęp nauki musi zdążyć do jej całkowitej eliminacji.

II

Rozpatrując bliżej postawiony zarzut, można między innymi wskazać na następujące wątpliwości, nasuwające się przy stosowaniu metody psychologizycznej w literaturze:

1) czy pogląd psychologizacyjny, uważając „całość psychiczną“ za dzieło poddane badaniu, może ustalić jednoznacznie przedmiot badania i czy nie sprzeciwia się postulatowi tożsamości przedmiotu?

2) czy psychologizm daje wystarczające podstawy do wyłączenia „całości psychicznych“ ewidentnie błędnych w stosunku do systemu podniet czyli zawartości tekstu?

3) czy może niewątpliwie oznaczyć istotne cechy dzieła, czy może ustalić wartości

<sup>1</sup> W całym artykule posługuję się terminologią psychologizacyjną. Używam zamiennie terminów: całość psychiczna, „dzieło“, przeżycie, dla oznaczenia pełnej treści uczuciowo-skojarzeniowej, zaś terminów: dzieło, system podniet, zawartość tekstu, przedmiot obiektywnie dany — dla oznaczenia dzieła literackiego jako tworu zobiektywizowanego.

Mówiąc o metodzie psychologizacyjnej, mam na myśli tylko te metodyczne konsekwencje, które wynikają z psychologizacyjnego rozumienia przedmiotu badań, a nie całość metody psychologizacyjnej, której uprawnia do innych, właściwych terenach nauki o literaturze całkiem nie kwestionuje.

w nim zawarte i określić jego rolę w społeczeństwie i hierarchii ogółu wartości literackich?

1.

Na wstępie jeszcze parę uwag o niektórych, najważniejszych poglądach psychologizacyjnych. Kładąc główny akcent na przeżycie, stwierdzają one zależność przeżycia od systemu podniet, lecz pojęcie przeżycia rozumieją bardzo szeroko, nie odgraniczając podniet od ostatecznych reakcji; czynności od wytworów; — aktów od przedmiotów intencjonalnych. W tak rozumianej całości psychologizm akcentuje uczuciowe i skojarzeniowe oddziaływanie percypującej świadomości, nie określając granicy ich dowolności. Natomiast usuwa z pola zainteresowania system podniet, choć uznaje znaczenie badań tekstu. Badanie tekstu nie posiada jednak dla psychologizmu znaczenia analizy dzieła, lecz należy do prac o charakterze ubocznym, filologicznym. Tak więc z dziełem zostają utożsamione głęboko osobiste pokłady uczuć i reakcji w pełnej ich dowolności i zmienności.

Metoda psychologizacyjna zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa subiektywizmu i relatywizmu, lecz dążąc do ściśłości ludzi się, że 1) subiektywizm ten da się ograniczyć do minimum, i 2) że jego konieczna obecność w nauce wynika z charakteru przedmiotu badań. Odpowiedzią na drugą tezę mogłoby być tylko wykazanie na materiale w pozytywny sposób, że tak — sprawa się nie przedstawia. Wymaga to osobnego omówienia, narazie trzeba się zająć sprawą pierwszą i przekonać, czy ograniczenie subiektywizmu umożliwi usunięcie

wątpliwości, jaka nasunęła się w pierwszym pytaniu.

Psychologizm stara się wyłączyć subiektywizm przez 1) uwzględnienie w badaniach możliwie jak największej ilości różnych przeżyć, oraz uzyskanie na tej podstawie przeżycia właściwego, nadrzędnego i 2) dotarcie do indywidualnego przeżycia miarodajnego, t. j. przeżycia dzieła.

Istnieje jednak wątpliwość i uznane zastrzeżenie, że przeżycie każdej jednostki percypującej jest jej niedostępna i niepodzielna własnością. Jest to na tej drodze badań trudność zasadnicza i niepokonalna. Psychologizm stara się ją obejść. Badacz powinien przez częste i stałe obcowanie z dziełem dojść do możliwie jak najróżnorodniejszej gamy przeżyć, całości psychicznych.

Wymaganie takie nie da się spełnić. Przeżycie, rozumiane wedle tezy psychologizacyjnej, jest jedyne i niepowtarzalne, nawet w duszy badacza. Choćby bowiem przeżył dzieło wielorako i za każdym razem inaczej, jeszcze prosta suma tych przeżyć nie da właściwego, jakiegoś wszechogarniającego, nadrzędnego przeżycia, które byłoby zawsze stałe i jednoznacznie określone. Będą to zawsze tylko różne możliwe przeżycia, różne reakcje na dany system podniet, ale nie będzie to niezmienne, choćby w bardzo szerokich granicach zakreślone „dzieło“, przeciwnie będzie ostatecznie tyle „dział“ ile przeżyć, opartych na tym samym tekście. Tak więc suma wielu przeżyć indywidualnych do tego idealnego przeżycia nie prowadzi.

Gdyby nawet możliwe było wykonstrowanie jakiegoś przeżycia nadrzędnego, najdoskonalszego, to jedyną gwarancją jego nadrzędności byłoby oparcie jego konstrukcji na wyczerpaniu wszelkich możliwych przeżyć. Postulat taki pojawia się też w psychologizmie, mimo przytoczonych już zastrzeżeń co do niedostępności przeżyć cudzych. Ale *posito*, że miałyby się to odbyć bądź przez konstrukcję cudzych, bądź przez przeżycie własnych, wielu całości psychicznych badacza, to tak jedno jak i drugie nie daje gwarancji wyczerpania wszelkich możliwości. Badacz może przeżyć tylko niektóre całości psychiczne, dla przeżycia wszelkich odmian nie starczyłoby po prostu czasu i możliwości psychicznych. Mogą być przeżycia tak dalece obce badaczowi, że mogłyby być mu dane jedynie na drodze konstrukcji rozumowej, co oczywiście odbiera im bezpośrednio, wymagany przez psychologizm charakter. Niewątpliwie poza przeżywanymi i nawet tak intelektualnie skonstruowanymi całościami pozostanie zawsze nieuwzględniona ogromna większość przeżyć już kiedyś realizowanych, jak i nieskończona ilość możliwych. Zaś tylko wyczerpanie wszystkich mogłoby — jak powiedziano — dać podstawę dla konstrukcji tak nadrzędnie pojętego przedmiotu. Wszelkie ograniczenie musi prowadzić do subiektywizmu, a w dalszej konsekwencji do relatywizmu.

Wymienia się jeszcze inną drogę dotarcia do tych różnorodnych przeżyć, mianowicie przez określenie wszelkich możliwych podstaw psychicznych, z jakich przeżycia mogą się rodzić i jakie je w pewnych ogólnych grupach charakteryzują. Jednak i tu charakterystyka przeżyć jest tylko bardzo ogólnikowa i pośrednia, a właściwe znaczenie tych badań leży po stronie psychologii różnicowej, stosowanej na terenie literatury. Wyniki jej w niczym nie mogą przyczynić się do określenia istoty dzieła.

\* \* \*

*Jak cię przywołać? gestem rąk?  
modlitwą? klątwą? czy milczeniem?  
czy senny zamieszkujeś krąg?  
czyś ptakiem, drzewem, czy kamieniem?*

*Duchu, wiejący nad wodami,  
nie słyszę świstu twoich piór,  
a znam ten głos, przedwieczny chór,  
to śpiewa krew oceanami.*

*Morzem pamięci płynę, mgłą,  
mijając wyspy snu i jawy,  
nieznana wokoło kipi głąb  
i niezbadany cel wyprawy.*

*Ocknięty nagle wśród bezmiarów,  
wrośnięty w świat, wyrosły z dna,  
tętniący kształt mój morzem gna,  
pchany nadzieją i niewiarą.*

*A z dna pamięci, z głębi wód,  
z płynnych obszarów oceanu,  
powstaje strach, i mord, i głód,  
widma potwornych lewiatanów.*

*koluje wir pokracznych ryb,  
ślizgów, krabów, glowonogów,  
narasta wodorostów grzyb,  
i ostrza koralowych progów.*

*I wola mnie ich byt i los,  
i martwym szumem w uszach gra mi,  
a znam ten śpiew, a znam ten głos —  
to śpiewa krew oceanami.*

WŁADYSEAW SEBYŁA

<sup>1</sup> Porównaj między innymi artykuły prof. J. Kleina zawarte w zbiorze p. t. *Studia i szkice*, artykuły I. Matuszewskiego, dzieła Lippsa, Diltheya, Müllera-Freienfelsa, Lalo i in.

K 1669/86/30

Wydawnictwo  
Książki  
Socjalistyczne

To samo można powiedzieć o dalej idącej próbie zacieśnienia podstaw dla konstrukcji miarodajnego przeżycia, mianowicie o próbie dotarcia do przeżycia autora. Nasuwają się tu dwie wątpliwości: 1) czy konstrukcja taka jest możliwa? 2) czy jest naprawdę miarodajna? Oczywiście, że w pierwszym przypadku może chodzić tylko o konstrukcję na drodze intelektualnej. Może to udać się jedynie na podstawie dostępnych ewentualnie świadectw i dokumentów. Jest ich niezmiernie mało. Metoda taka, gdyby prowadziła do pozytywnych wyników, mogłaby mieć zastosowanie w bardzo wielkich szczęśliwych wyjątkach. Ale nawet i w takim razie nie wiadomo, czy wynik odpowiada nadziejom. Często tak skonstruowane przeżycia sprzeciwiają się powszechnemu i uznanemu rozumieniu dzieła. Często też świadectwa autora, odnoszące się do tego samego dzieła, mogą się różnić między sobą. (Np. sądy Mickiewicza o rozumieniu III cz. *Dziadów*). Tak więc i ta metoda konstrukcji dzieła, jako przeżycia, zawodzi.

Metoda psychologiczna nie potrafi więc ustalić przedmiotu, który ma być badany, podważa jego tożsamość, dopuszczając do możliwych zmian całości psychicznej, odpowiadającej danemu systemowi podniet. Badacz X będzie mówił o całości A, zaś badacz Y będzie mówił o całości Z. W każdym przypadku będą mieli przekonanie, że mówią o tym samym przedmiocie, tymczasem zaś może między nimi zachodzić różnica nie tylko pod względem cech drugorzędnych, ale i decydujących, jakoteż i co do ogólnego charakteru dzieła.

## 2.

Przystępując do rozważenia drugiego z postawionych na wstępie pytań, należy stwierdzić, że z założeń psychologizmu wynika, iż wszystkie możliwe reakcje psychiczne na system podniet dany w dziele są jednakowo uprawnione. Skoro bowiem przyjmuje się, że nawet w dziesiątym czytaniu może nasunąć się całość psychiczna całkiem nowa, odmienna w ważnych elementach od poprzednich, i skoro uważa się je wszystkie za równie ważne, — jeśli dalej, uważa się za istotne wszelkie skojarzenia i reakcje uczuciowe, nie oznaczając rzeczowego uprawnienia tych odmian i skojarzeń, to musi się przyjąć, że wszelkie takie reakcje są jednakowo ważne, posiadają jednakże znaczenie jako podstawa dla określenia waloru tak pojętego przedmiotu. Jednak nasuwa się tu wątpliwość, czy istotnie tak jest i czy wszystkie są jednakowo uprawnione, czy nie dzieje się tak, że niektóre są oczywiście błędne. Zdaje się, najzagorzalszy zwolennik psychologizmu musi uznać, że całości psychiczne dziecka, człowieka psychicznie nienormalnego, kulturalnie niewyrobionego są istotnie różne od przeżycia przeciętnego. Mogą pojawić się przykłady przeżyć oczywiście wzajem się wykluczające. Czy wtedy należy stwierdzić, że mamy do czynienia z innym dziełem, czy też dążyć do eliminacji całości psychicznej błędnej? Król Lear może być dla kogoś postacią śmieszną, dla kogo innego głęboko tragiczną. Naturalną tendencją będzie dążenie do właściwego określenia cech istotnych, a wyłączenia błędnych. Lecz tu zawodzi metoda psychologiczna; nie daje bowiem żadnego określonego kryterium, które doprowadziłoby do stwierdzenia, które przeżycie jest błędne. Wszystkie są dla niej jednakowo uprawnione!

## 3.

Bardzo podobnie można rozprawić się z trzecią wątpliwością. Sprawa w niej zawarta jest właściwie identyczna ze sprawą poprzednią. Naturalnym dążeniem badawczym w analizie dzieła jest dążenie do wykrycia cech istotnych, głównych, ustalenie pobocznych i pochodnych. W każdej zaś realizacji mogą zachodzić rozmaite, nie koniecznie błędne przesunięcia właściwych akcentów. Raz takie, kiedy indziej inne cechy mogą się wysunąć na plan pierwszy. Jednego Beatrix Cenci z dramatu Słowackiego może pobudzać do wzruszenia i współczucia, drugiego może razić i napawać niechęcią, dla kogoś będzie postacią pełną słodyczy, wdzięku i niewinności, dla kogo innego zbrodniarką, afektowaną i sztuczną. Jak tu dojść do określenia cechy właściwej? W jednym przeżyciu wystąpi jedna, w drugim inna cecha. Jak więc postąpić ma badacz, jeśli chce dotrzeć do cech właściwych, a odróżnić pochodne, wydobyć cechy konieczne, a określić odchylenia możliwe, skoro wszystkie odchylenia mają równą wagę? Jak może ustalić właściwą dla dzieła hierarchię wartości, której od nauki o literaturze słusznie domagać się możemy? Wobec tych zadań metoda psychologiczna pozostaje bezradna. Do odpowiedzi na takie pytania dociera się na podstawie innych założeń.

Konkludując, należy stwierdzić, że, jeśli przyjmujemy założenie — jakoby nauka

o literaturze była tylko rozdziałem psychologii, jeśli dzieło literackie dane by było tylko jako przeżycie psychiczne i istniało by jedynie jako nasza duchowa własność, jeśli wreszcie najważniejszą sprawą w tym przeżyciu-dziele byłyby subiektywne reakcje, oddźwięki uczuciowe i dowolne skojarzenia, to tracimy z pod nog realny grunt i podstawę daną w systemie podniet, wywołującym owe przeżycia. Całość psychiczna w indywidualnych konkretnych przypadkach jest systemem doznań, nie dających się jednoznacznie ustalić w różnorodności indywidualnych przypadków, i zależy od wielu nieistotnych dla literatury czynników psychicznych, tak że oddziaływania te, jak i ich owoce, muszą zostać wyeliminowane, jeśli chcemy, aby badania literackie były nauką, a nie zbiorem dowolnych impresyj.

## III

Współczesny stan badań — w niewielu przypadkach — może odpowiedzieć żądaniom ścisłości naukowej. Stwierdzenia niewątpliwie naukowe przepieczone są uwagami o charakterze nienaukowym, ciągle docieranie do intencji autora, konstruowanie jego myślenia, charakteryzowanie możliwych oddźwięków psychicznych, jako reakcyj na określone elementy dzieła, zmieszane z uwagami o konkretnych, rzeczowych cechach dzieła, tworzą często mieszaninę daleką od wszelkiej wogóle metody. Postulat odświeżenia wszelkich aspektów dzieła, zbliżenia go do czytelnika, sprowadza na takie manowce niemetodycznej pracy. Tylko ścisłe określenie zadania i sposobów badania naukowego może doprowadzić do oczyszczenia z tych błędów i wad. Potrzebne niewątpliwie zbliżenie dzieła czytelnikowi należy pozostawić nienaukowej krytyce literackiej, natomiast wszelkie badania literackie, o ile mają być naukowe, muszą tak skonstruować przedmiot swych badań, by stał się on jednoznaczny, ściśle określony i metodą badawczą dostępny. Odpowiednie wycinki badań mogą się posługiwać różnymi metodami, znajdzie tam zastosowanie i metoda psychologiczna, nie może ona jednak być wyłączną i nie może przekraczać terenów, naturą przedmiotu wyznaczonych.

Pogląd psychologizujący prowadzi do subiektywizmu i relatywizmu. Uczni holdujący takim poglądem, mogą tylko taktować i intuicji naukowej zawdzięczać, że mimo takich podstaw rozumienia dzieła literackiego potrafili dojść do wybitnych rezultatów, w rzeczywistości bowiem przedmiotem ich badań nie było „przeżycie-dzieło”, lecz dzieło jako system podniet; analiza bowiem oparta była na doskonałym smaku estetycznym, przeżycie zaś korygowane było poznaniem istotnych cech danej poza nim zawartości tekstu. Nie brak jednak prac, w których niekrepowany subiektywizm prowadzi do nienaukowych i niepotrzebnych ekskursów o dziełach literackich, a rozpowszechnione mniemanie o irrealności dzieła literackiego upoważnia do takich swobodnych i niemetodycznych rozpraw, które ani nie są krytykami literackimi, ani nie są rozprawami naukowymi. Nieliczne badania o charakterze filologicznym uchroniły się od tego grzechu.

## IV

Podobnie, a do pewnego stopnia i groźniej, przedstawia się sytuacja w nauczaniu literatury w szkole średniej. I tam w związku z przebudową ustroju i metod znaleziono w poglądach psychologizujących podstawę do realizacji nowych postulatów i zamierzeń. Stąd też tak silnie akcentuje się obecnie sprawę odpowiedniego postawienia i zabezpieczenia przeżycia dzieła przez młodzież. Nie można zaprzeczyć, że jest w tym poważna i pozytywna zdołność w przeciwnieństwie do stosowanej dawniej suchej i oderwanej, schematycznej analizy. Praca szkolna, pozbawiona oparcia o przeżycie, zostaje zawieszona w próżni, nie może doprowadzić do żadnych pożytecznych wyników i staje się zakłamaniami i zanudzeniem młodzieży. Jednak akcent położony na tezie psychologizacyjnej, wyraźnie widoczny w wypowiedziach metodyków nauczania literatury,<sup>3</sup> oraz ogólna tendencja programów, idąca też w tym kierunku, nie usuwa możliwości niebezpiecznych konsekwencji. Jak bowiem należy rozumieć wpływanie nauczyciela na duszę ucznia w sposób twórczy, jak ma on otwierać im oczy na zagadnienia, skoro dzieło żyje tylko życiem czytelnika, skoro nie wolno nauczycielowi doprowadzać ucznia do poglądów, które nauczyciel uważa za słuszne? Przeżycie musi być tylko koniecznym punktem wyjścia. Jeśli się zaś stało w konsekwencji psychologizacyjnego postulat, nienaruszalnym tabu. Jeśli się stało miastycznym kwiatem wzruszenia, którego na-

<sup>3</sup> Zob. artykuł p. Pelińskiego, *Polonista*, t. V.

leżało by strzec, pielęgnować i, broń Boże, nie zwarzyć zbyt analitycznym i ścisłym omawianiem dzieła jako przedmiotu tego wzruszenia, — jeśli by się dalej rola nauczyciela w trosce o nienaruszalne przeżycie ograniczyć miała do biernego poddania się wypowiedziom na temat indywidualnych przeżyć dzieci, a opracowanie ograniczyło się do młodzieńczej problematyki, — to niewątpliwie otwiera się szeroko droga do zagubienia dzieła w różnorodności indywidualnych psychicznych przeżyć.

W ścisłej konsekwencji psychologizmu przeżycie dzieła literackiego, przebiegające w duszy dziecka, jest niepodlegającą dyskusji najwyższą wartością, nauczyciel zaś nie może mieć prawa do wpływania na taki lub inny sposób przeżycia, nie wolno mu też przeżycia oceniać i przeprowadzać potrzebnej ewentualnie poprawy rozumienia dzieła, co może doprowadzić do tego, że nie będzie miał możliwości wprowadzenia dziecka w świat dzieła, świat przeciwie do pewnego stopnia jednoznacznie określony i będący wspólną kulturalną własnością społeczeństwa. W ostatecznej konsekwencji stanowisko takie musiało by doprowadzić do zupełnego chaosu w rozumieniu najwyższych dóbr kulturalnych narodu. Jeśli do tych fatalnych konsekwencji nie dochodzi, to dzieje się na szczęście dlatego, że jednak w pracy szkolnej dużą rolę od-

grywa poprawa rozumienia dzieła w duszy młodzieży, że dokonywa się kontrolowana konstrukcja pewnych twórców i przedmiotów o charakterze intencjonalnym, że właściwie przekracza się uznane za podstawowe poglądy o psychiczności dzieła i rozumie się je jako ustalony choćby w ogólnych rysach i niezmienny wytwór. Jednak nie brak zwiastunów odwrócenia się i od tej — z punktu widzenia psychologizacyjnego — niekonsekwencji!

## V

Tak sprawy ściśle teoretyczne i wiążące się z nimi konsekwencje w zakresie praktycznej wiedzy o literaturze, jak i przede wszystkim wyraźne tendencje w zakresie nauczania literatury w szkołach średnich, nadają problemowi podstawowych pojęć o dziele literackim piętno szczególnej aktualności i wagi. Sytuacja wymaga zdecydowanej i konsekwentnej rewizji dotychczas panujących poglądów. Dlatego trzeba szczególnie głośno wolać o konieczności zmiany podstaw teoretycznych naszych poglądów o literaturze. Zmiana taka staje się tym łatwiejsza, że tak ostatnie przejawy kierunków formalistycznych, jak i przede wszystkim doniosłe prace prof. R. Ingardena wskazały nowe podstawy dla naukowego badania dzieła literackiego.

MARIAN DESLOGES

## O T. ZW. „LITERATURZE” W PLASTYCE

Utarło się, zwłaszcza u zwolenników „czystej formy” w malarstwie, nazywać wszystko to, co stanowi treść pozamalarską w obrazie, literaturą, a dzieło im bardziej przepojone tą literackością, tym z zasady gorsze. Zarzut literackości dla dzisiejszego malarza, to już nie zarzut, nie obelga, lecz nieomal dyskwalifikacja. W ten sposób przyczyniono się znacznie do zupełnej prawie niepopularności dwóch największych malarzy polskich, Jana Matejki i Jacka Malczewskiego, z powodu rzekomej przewagi w ich dziełach literackości nad czystą malarskością. A przecież wystarczy spojrzeć bez uprzedzenia na ich obrazy, ażeby poza anegdotą historyczną i alegorią scen fantastycznych dostrzec olbrzymie bogactwo kolorów, ich zestawień i stosunków, ich nateżeń i napięć kierunkowych, ich walorów wrażeniowych „samych w sobie” — czyli dostrzec trud czysto malarski, formalny, nad ukształtowaniem barwnym koncepcji widzialnej, powstałej jak gdyby z samego dna ich oka jako z najpierwotniejszego swego źródła. Czy więc byli to malarze mimo swej literackości, czy też literaci mimo swej malarskości?

Ani jedno, ani drugie. Wprawdzie mogą nam powiedzieć przeciwnicy Matejki i Malczewskiego jako malarzy, że przecież ich najgenialniejszy uczeń, Wyspiański, doprowadzając do ostatecznych niejako wniosków przesłanki zawarte potencjalnie w ich dziełach, „rozszerzył” wymownie swą twórczość w praktyce na malarstwo i literaturę. No tak, ale to niczego nie dowodzi, bo znów powstaje pytanie: czy malarstwo jego było ilustracją do jego literatury, czy odwrotnie? I znów trzeba odpowiedzieć: ani jedno, ani drugie — chociaż malarze skłonni będą trzymać się tej pierwszej o nim opinii, a literaci drugiej.

Na szczęście okres fanatycznego odsądzania od czci malarzy w imię jednej lub drugiej opinii zdaje się już przemiać. Oto w nr. 4 *Formy*, czasopisma „czystych formalistów” plastyków łódzkich, znajdujemy artykuł Władysława Strzeżewskiego, nieprzejechanego dotąd fanatyka abstrakcjonizmu formalistycznego w malarstwie, o — kim? — o Matejce. I to artykuł rehabilitujący właśnie Matejkę z punktu widzenia malarstwa czystego. Należy się spodziewać, że niebawem nadejdzie czas również i na podobną rehabilitację Jacka Malczewskiego i Stanisława Wyspiańskiego — oczywiście myślę tutaj wciąż o naszych nowatorach w plastyce. Artykuł Strzeżewskiego jest bowiem w tym względzie pierwszą radosną jaskółką, wieszczącą, że i w tym obozie artystów, odpornym zazwyczaj na wszelkie argumenty, zarówno logiki jak i intuicji, przełamują się lody dotychczasowej talmudyczności myślowej i zwolna zaczynają pierzchać zaskorupiałe zdawna „przesady, światło ściącające”.

Pogarda dla wszelkiej intuicji w tym obozie zmusza w polemice z nim do używania argumentów ściśle logicznych, aczkolwiek wskazanie na surrealizm francuskich, holdujących wyłącznie skrajnemu intuicjonizmowi, mogłoby z tego rodzaju ograniczenia argumentów polemicznych uwolnić. Poza tym i „logika ścisła” zarówno argumentów samych jak i ich wiązań i sformułowań terminologicznych szwankuje słomnie i zawodzi. Bo cóż to takiego ta „literackość” dzieła malarskiego, jeśli chodzi o *Grunwald* Matejki, *Na ostatnią nutę* Malczewskiego lub *Boga Ojca* Wyspiańskiego? Przecież to jest

niezgodne ze „ściśłą logiką”, żeby treść tych obrazów nazywać literaturą, skoro pojęcie literatury dzisiaj, a zwłaszcza liryki, odzignęła się jak najdalej od identyfikacji z nagimi tylko faktami życia, z anegdotą, reportażem i wszelką inną fotograficzną relatywnością zjawisk życiowych. Przecież z równą dozą słuszności, zamiast literackości, można ochrzcić obrazy Matejki mianem historyczności, Jacka Malczewskiego mianem filozoficzności, a Wyspiańskiego — kosmogoniczności, bo chyba nikt nie powie, że pojęcie historii, filozofii lub kosmogonii można zidentyfikować, a tym bardziej zastąpić pojęciem literatury. „Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie z jurt kirgiskich dym?”

Pogardzanie „literackością” i t. p. aspektami obrazów i literatury przy ich czystym i integralnym formalizmie przypomina przebrzmiałe już dawno echa parnasizmu i hasel „sztuka dla sztuki” w literaturze. Teorie malarskie zawsze szły w ogonie za hasłami literatury i filozofii, ale przynajmniej, choć spóźnione, występowały w bardziej rzeczowych postulatach, uwolnionych od balastu egzaltacji, od wszystkich cech przemijalności danego czasu. W wypadku naszego „awangardyzmu” i „nowatorstwa” mamy właśnie same tylko nawroty do tych pobocznych, dawno już przebrzmiałych aspektów głównych prądów literacko-filozoficznych — u nas sprzed 40-tu, a zagranicą sprzed siedemdziesięciu lat.

Wspólnym źródłem wszystkich rodzajów sztuk zawsze będzie treść — treść życiowa, która w zależności od rodzaju sztuki będzie literacka, malarska, muzyczna, rzeźbiarska i t. p. Przecież nikt utworu p. t. *Krajobraz jesienny* Ravela, czy *Pietruszka* Strawińskiego, czy *Miłość do trzech pomarańczy* Prokofiewa, czy *Fontanna Aretuzy* Szymanowskiego nie nazwie tworem malarskim lub literackim i nie odmówi ich autorom, że są właśnie najczystszy muzykami, ba, prekursorami nowych wartości czysto muzycznych, mimo niewątpliwie tak malarskich i literackich treści inspiracyjnych ich utworów. Propagowanie abstrakcjonizmu w dziedzinie sztuki, to propagowanie absurdu, bo wrażenia i odczucia powstają z konkretnego, a nie z abstrakcjonizmu. Nawet abstrakcję aniola wyobrażamy sobie pod postacią konkretnego: jasnej dziewięcynny ze skrzydłami; sama zaś czysta abstrakcja jest niewyobrażalna, stanowi zero wyobraźni. Skąd więc może być malarstwo abstrakcyjne? Absurd!

Klasycznych pod tym względem przykładów dostarcza malarstwo Pawła Cézanne’a, na którego nasi abstrakcjonści tak często lubią się powoływać, jako że ma on niby dowodzić swymi obrazami możliwości stopniowego wyzwolenia się z „literackości” i wszelakiego naturalizmu ku czystemu abstrakcjonizmowi. Wskazuje się przy tej okazji szczególnie na liczne odmiany jego *Baigneuses*. I oto, co tutaj zachodzi.

W najnowszej monografii o Cézannie, napisanej przez G. Rivièrę’a (*Paul Cézanne, le peintre solitaire*. Paris, 1933) czytamy: *Cézanne aimait particulièrement Virgile. Des vers du grand poète latin chantaient dans sa mémoire et s’y traduisaient en images. C’était peut-être en pensant à Virgile qu’il peignait ses baigneuses s’ébattant dans un paysage bucolique*. Chodziło więc Cézannowi o oddanie nastroju muzycznego bukolik wierszowanych Wergilego, stąd ta płynność, rozdraganie i falistość linii, kolorów, światła i ich nasilenie w jego *Kąpiących się*.

Gdzież więc tu ta abstrakcja i to „wyzwolenie z pięć naturalizmu”? Najklasycyjsza literackość, jaką tylko pomyśleć sobie można w malarstwie!

Tenże autor dowodzi dalej o Cézannie, że najbliższym mu przyjacielem był Emil Zola, a najulubieńszymi autorami, z których czerpał niejednokrotnie „natchnienia” do swych obrazów, byli: Wiktor Hugo, Alfred Musset i Karol Baudelaire; z malarzy jeden jedyny Delacroix, najbardziej „literacki” z malarzy francuskich, którego stanowisko w malarstwie francuskim odpowiada mniej więcej stanowisku Matejki w malarstwie polskim. Źródłem jego i celem w malarstwie zawsze był konkret, tylko że widziany od takiej strony i w taki sposób, od jakiej i w jaki nikt do niego dotąd nie podchodził. Skąd więc to pasowanie Cézanne'a na abstrakcjonistę?

To, co się zwykle uważa u Cézanne'a za rezultat „wyzwolenia z pięć naturalizmu”, to przekształcenie do niepoznania obiektów konkretnych w jego wizjach malarskich, to nie innego jak tylko „natura widziana przez pryzmat jego indywidualnego temperamentu”. Stare hasło naturalizmu, owszem, które w obrazach Cézanne'a stało się nawet zasadą. Bo oto posłuchajmy, co wyznaje w formie postulatów malarskich sam Cézanne: *Dans la peinture, il y a deux choses: l'oeil et le cerveau. Tous deux doivent s'entraider. Il faut travailler à leur développement mutuel: à l'oeil par la vision sur nature, au cerveau par la logique des sensations organisées qui donnent les moyens d'expression.* Okazuje się, że Cézannowi chodzi o przepojenie sztuką pierwszego lepszego tematu życiowego w takim stopniu, aby uzyskał był samoistny, a przez to samo, ażeby mógł trwać dalej, choćby kontekst życiowy z jakiego został wyodrębniony przestał istnieć. W ten sposób szczegół życiowy czy wycinek natury przeniesiony na płótno odrazu zyskuje bezwzględna autonomię i jakby był niez-

ależny — czyli nieśmiertelna się, mówiąc językiem potocznym, bo trwa w sztuce niezmieniony, wyrwany z tragicznego łańcucha ogólnej przemijalności wszystkiego, co żyje. Taki sam stosunek do tematu z życia wziętego (bo innego być nie może) charakteryzuje również poezję i muzykę. A więc zadaniem wszelkich rodzajów sztuki jest nie *odtworzenie*, ani nie *stworzenie* rzeczy absolutnie nowych, niepodobnych do niczego ani na ziemi, ani w niebie, bo taka sztuka byłaby też i absolutnie obojętna i niezrozumiała, ale tylko i przede wszystkim *przetwarzanie* tego, co jest w życiu. Czyż potrzeba dawać przykłady na to, że największe dotąd znane arcydzieła sztuki to właśnie takie przetworzone na miarę ideału obrazy życia?

Cézanne, ojciec wszelkiego nowatorstwa w malarstwie współczesnym, całe życie uwielił Wergilego, Baudelaire'a i Delacroix, artystów o największym potencjale surowego życia w swoich dziełach; szczególnie Delacroix, nabrzmiałego od historii i filozofii, kopiował i analizował z pasją na podziw wytrwałą i nieznużoną. U nas też w ostatnich czasach datuje się charakterystyczny „nawrót” nowatorów zarówno w plastyce jak i w literaturze do tradycji, gorączkowe uzasadnianie i obrona treści w swoich utworach. Wymownymi tego przykładami są: Władysław Strzemiński, mistrz abstrakcjonizmu malarskiego, analizujący twórczość Jana Matejki, i Tadeusz Peiper, „ojciec” poezji integralnej, nawracający po siłę i soki żywotne dla awangardy do Mickiewicza i Słowackiego. A wiadomo, że tych autorów trzeba przyjąć całkowicie tak jak są, albo nie przyjąć wcale, bo wszystko w nich, każdy najbłahszy nawet szczegół, jest albo przyczyną albo skutkiem, bez którego cały gmach runie. Wypatroszać ich z treści nie wolno, bo nie ma kwiatu bez korzenia.

MARIAN PIECHAL

## KILKA SŁÓW O KULTURZE DUCHOWEJ WIEDNIA

Kultura duchowa Wiednia ma wspaniałe tradycje. Niemniej, przed wojną, splątana była z atmosferą cesarskiego poglądu na świat, z prawem kasty uprzywilejowanej i beznadziejnie deprawowanych kast niższych. — Po powrocie z Paryża Wiedeń robił wrażenie środowiska łatwej rozrywki i płytkiego używania życia, niemniej pociągając snobów francuskich arystokratyzmem i pogardą dla tłumów. — Na Galicjan przedwojennych działał rozkładowo. Anekdota o reencji galicyjskim, który po wojnie powiedział: *tu musi przyjechać ktoś z Wiednia i zrobić porządek*, jest niestety prawdziwa.

Wiedeń dzisiejszy, uginający się pod brzemieniem średniowiecznej reakcji, budzi głębokie współczucie i prawdziwą sympatię.

Sympatia ta jest tym większa, że jest wzajemna. Wiedeńscy zajmują się naszymi sprawami i liczą się z nami. Niejednokrotnie słyszałem słowa żalu, że nie umiemy po polsku. Intelkktualisci wiedeńscy radzi by umieszczać artykuły w naszych czasopismach, mieliby ochotę przyjeżdżać do nas z odczytami, a przede wszystkim radzi by zapoznać się z naszą twórczością i z naszym ruchem intelektualnym.

W końcu lutego wybrałem się do Wiednia celem wygłoszenia odczytu w t. zw. *Wiener Kreis*. Pobyt mój był krótki, ale niemniej dostarczył mi tyle wrażeń godnych uwagi, że trudno jest pominąć je milczeniem.

*Wiener Kreis* jest to niewielka grupa filozofów i matematyków, która w przeciągu krótkiego czasu zdołała zyskać sławę światową. Wielu jej członków przebywa za granicą, gdzie stale lub czasowo wykładają na uniwersytetach. Wittgenstein wyklada w Cambridge, Carnap jest profesorem w Pradze, a w ciągu bieżącego roku wyklada w Ameryce. Młody matematyk Gödel, który swoimi pracami nad logiką matematyczną wybił się na plan pierwszy, przebywa w tym roku również w Ameryce.

Na miejscu są w tej chwili trzy wybitni uczeni: prof. Schlick, prezes towarzystwa, prof. Menger i docent Feliks Kaufmann. — Wspólną ich cechą jest wielka prostota myślenia i zupełnie nowożytny podejście do zagadnień filozoficznych i społecznych. Uderza przede wszystkim niesłychany brak przesądów narodowościowych i klasowych.

Prof. Schlick pochodzi z starej pruskiej rodziny, fizycznie przedstawia typ rosłego nordydzkiego, z którym przywykliśmy łączyć obawę przed kultem imperializmu. — Spotykamy nowoczesnego człowieka w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. — Rozmawiałem z nim raz tylko w cztery oczy, ale naprawdę miałem wrażenie, że mówię ze starym znajomym, wychowanym w tym samym środowisku i tych samych tradycjach. Trudno obronić się jakiejś tragicznej rozpacz, że

w Europie jest tyle ludzi sobie bliskich, którzy mogliby wspólnymi siłami budować kulturę całej ludzkości, — a tak się właśnie zdarzyło, że nie oni decydują o wypadkach i wszystko tak się składa, żeby powtórzyła się historia starej Grecji, która zżarła się wzajemnymi walkami o miód.

Z punktu widzenia dzisiejszych środków komunikacyjnych Europa jest może jeszcze mniejsza niż stara Grecja. Atmosfera walki o miód rzuca się w oczy.

Prof. Schlick jest filozofem, który według mego przekonania dokonał wielkiego odkrycia, największego z tych, na jakie zdobyła się filozofia powojenna. Stwierdził po prostu, że prawdy z życia codziennego, takie np. jak ta, że odległość mojego mieszkania od uniwersytetu nie wynosi 10 cm., nie różnią się w swojej istocie od prawd naukowych i że nauka nic lepszego wymyślić nie może. Odkrycie to jest niezmiernie twórcze. Z jednej strony likwiduje uroszczenia idealistów, i ich rozpacz wywołane tem, że świat nie chce być taki gładki i grzeczny, jak to wynika z ich formulek, z drugiej strony wyrwa broń pragmatystom, którzy chcieliby pojęcie prawdy sprowadzić do pojęcia *użyteczności* i rzucić w ten sposób kulturę ludzką na pastwę interesów kasty uprzywilejowanej. Rewizja podstaw nauki dokonana zgodnie z tą doktryną prowadzi do wyników godnych uwagi.

Profesora Mengera znam od dawna. Jest on częstym gościem w Polce, zajmuje się naszymi sprawami i ma w sobie coś takiego, że można zapomnieć się i zacząć z nim mówić po polsku.

Menger jest związany tradycją rodzinną z Polską. Jego ojciec był wysokim urzędnikiem w Galicji zanim został profesorem uniwersytetu wiedeńskiego. Menger jest naturą nawskroś artystyczną. Entuzjazmuje się muzyką współczesną i współczesnym malarstwem. Widziałem u niego piękne obrazy i słyszałem płyty pieśni ludowych wszystkich części świata. Pomiedzy innymi słyszałem Redyk góralski. Wydał mi się najbardziej dziki i najbardziej egzotyczny.

Menger jest matematykiem wysokiej klasy, ale to nie przeszkadza mu zajmować się z wielkim zapalem filozofią. — Reaguje bardzo silnie na przewrót pojęć dokonujący się u podstaw nauk ścisłych i wyczuwa jego ścisły związek z kształtowaniem się współczesnej kultury. W przeciwieństwie do ogromnej większości fachowych matematyków, którzy chcieliby tworzyć wiedzę ezoteryczną, niedostępną dla tłumy, zdaje sobie Menger jasno sprawę z tego faktu, że wyniki nauk ścisłych są w zasadzie dostępne dla wszystkich, a jeśli tak nie jest, to jest to tylko wina autorów.

Przed paru laty wydał Menger zajmującą książkę p. t. *Moral, Wille u. Weltgestaltung*

(Springer, 1934), w której poruszył zapomnianą od czasów Spinozy sprawę analogii systemów normatywnych z systemami geometrii. Wiadomo, że Spinozie nie udało się nadać swojej etyce charakteru apodyktycznego, jaki miała ówczesna geometria. Sprawa wydawała się załatwiona. Stało się inaczej. Dzięki pracom Łobaczewskiego i Bolyaia okazało się, że geometria nie ma również charakteru apodyktycznego i jest zależna od aksjomatów, które musimy przyjąć bez powodu.

W tych warunkach analogia narzuca się znowu z nieodpartą siłą. Autor zastanawia się nad tym, czy dążenie do wspólnej etyki, obowiązującej wszystkich ludzi nie jest w tych warunkach logicznym absurdem, który musi doprowadzić do kataklizmów. Zwraca uwagę, że dawniej przypuszczano, że współżycie ludzi o różnych religiach jest niemożliwe. Dzisiaj twierdzenia takiego nikt nie wzięby serio. Nasuwa się myśl, czy nie można uzależnić ustawodawstwa od postulatów pewnej grupy ludzi, która chce wybrać te właśnie obowiązki i te właśnie prawa. — Zagadnienie jest fascynujące i wyprzedza daleko perspektywę dociekań nad budową społeczeństw ludzkich w imię rzeczywistych potrzeb członków społeczeństwa. W epoce, kiedy dążenie do zrobienia z ludzi pionków zdanych na łaskę zmieniających się co chwila przepisów zapanowało nad umysłami, książka Mengera wnosi element ulgi i świeżości. — Niestety konstrukcje geometryczne posunięte są może nieco za daleko, skutkiem czego eksperyment myślowy autora może być tylko w nieznacznym stopniu zastosowany w praktyce.

Docent Feliks Kaufmann zajmuje się zagadnieniem metodologii nauk, a w szczególności matematyki i socjologii. Jeśli się zważy, że jest szefem instytucji handlowej, która zajmuje lwia część jego czasu, trzeba naprawdę podziwiać kolosalną skalę jego produkcji. Dodać trzeba, że z tym wszystkim łączy się niezwykle równowaga umysłu i pogoda ducha naprawdę zadziwiająca.

Kaufmann walczy z fetyszyzmem naukowym w imię zdrowego rozsądku. Przed 6 laty ogłosił książkę o nieskończoności w matematyce, w której wystąpił przeciw przyjmowaniu takich przedmiotów jak klasy, klasy klas, klasy klas klas i t. d. Był to krok niezmiernie śmiały, bo wówczas wydawało się, że bez założeń tego rodzaju matematyka jest niemożliwa. Niemniej późniejsze badania nad podstawami matematyki wykazały słuszność postulatu Kaufmanna. Dzisiaj wiemy, że matematyka jest nauką o znakach i wyrażeniach budowanych z danych znaków według z góry przyjętych reguł. Klasy są tylko wyrażeniami pewnego gatunku.

W świeżo ogłoszonym dziele o metodzie w naukach społecznych (*Methodenlehre der Sozialwissenschaften*, Wien 1936) wystąpił Kaufmann przeciw niebezpiecznej behawiorystycznej doktrynie, która w imię utopii *czystego doświadczenia* chciałaby zlikwidować poznawczą rolę współczucia, zastępując ją obserwacją fizycznych reakcji poszczególnych jednostek ludzkich, przy czym wypowiedziane zdania uważa się za czysto aku-

styczne zjawiska. Doktryna ta, obrażająca w najwyższym stopniu zdrowy rozsądek, rozszerzyła się w świecie ścisłej nauki z zadziwiająco szybkością.

Kaufmann zauważył, że redukcja, o którą chodzi behawiorystom nigdy nie może być zupełna, bo właśnie do tego, żeby ją wykonać, potrzebne jest wczucie się w innych ludzi. W ten sposób wyeliminowana na jednym piętrze pojawia się na piętrze wyższym.

Osobliwie zajmująca jest uwaga, że ideał obiektywnej wiedzy, wspólnej dla wszystkich ludzi, do którego dąży behawiorysta, jest z punktu widzenia ich doktryny absurdem, bo jeśli nie zaczniemy od przyjęcia środowiska ludzkiego, które może porozumiewać się wzajemnie, to żadna konstrukcja teoretyczna nie pozwoli nam do niego dotrzeć.

Może spotkam się z zarzutem, że poruszam tu sprawy, które obchodzić mogą jedynie specjalistów. Zarzut ten uważałbym za niesłuszny. Doktrynerstwo naukowe, wiodące do rozbratu z zdrowym rozsądkiem, hamuje rozwój kultury i prowadzi do katastrofalnych nawrotów do wieków ubiegłych. Jest obowiązkiem całego społeczeństwa czuć, żeby doktrynerstwo naukowe nie panowało się i nie krzewiło. W pierwszym rzędzie należy wiedzieć o istnieniu obrońców zdrowego rozsądku i popierać ich na każdym kroku.

Tyle o kole wiedeńskim.

Na zakończenie chciałbym poświęcić parę słów sztuce.

Z nowym malarstwem spotkałem się w pracowni Merkla. Byliśmy tam z prof. Mengeringem i patrzyliśmy długo na znaną mi już z wystawy lwowskiej *Idylle*. Łagodne, miękkie kształty kobiet w półmrocznej atmosferze barw zgaszonych, utopionych w brzoźach zanikających. Dziwne kreśli na miejscach oczu tych kobiet. Odblask tragicznej choroby oczu artysty, spowodowanej postrzałem przyniesionym z wojny. To samo zjawisko na innych płótnach. We wszystkich łączy się rozmarzenie i dziwna pogoda ze zgrozą kryjącą się na dnie. Świetna faktura, ale ani śladu kultu dla konającego fetysza czystego malarstwa. Zabawa smutnego dziecka. To wszystko.

W związku ze wspaniałą wystawą arrasów i bronzów w muzeum historii sztuki — poznałem dra Ernesta Krisa, który tam jest kustoszem.

Psychoanalitk ze szkoły Freuda i historyk sztuki. Opracował teorię bronzowania artystów. Wykrywa szablon, na podstawie których pisane są wszystkie dawniejsze zyciorysy.

Wszystko to, co tu mówię, jest oczywiście fragmentem. Myślę jednak, że wystarczy do tego, żeby zrozumieć szlachetność linii twórczości tych ludzi i zacerpnąć otuchy do walki o zagrożoną kulturę duchową Europy. Wystarczy do tego, żeby odczuwać czar wyżyn duchowych i wiedzieć, że nasze codzienne troski i kłopoty są od nich w wysokim stopniu zależne i nie dadzą się żadną miarą załatwić, jeśli nie będziemy ich pojmowali jako element wielkiego procesu rozwojowego całej ludzkości.

LEON CHWISTEK

## POEZJA ZAPOMNIANEGO LUDU

Budziszyn — brzmienie to przenosi nas odrazu w zaranie naszych dziejów. Przypomina zwycięskie wojny Bolesława Chrobrego z Niemcami, przywodzi na pamięć długie lata nieustępliwych zmagania dzielnego króla, zakończonych objęciem r. 1018 w posiadanie ziemi ówczesnych Milczan ze stolicą Budziszynem.

I na tym wyczerpuje się nasza wiadomość o tym mieście. Lecz gdzie ono leży i kto tam dziś przebywa? Dzisiaj Budziszyn, położony o pięćdziesiąt kilka kilometrów od Drezna w kierunku wschodnim, ku Śląskowi, jest sercem narodu lużyckiego, jego stolicą duchową. Jest jeszcze ostatnim widomym znakiem, że z pośród wielu plemion słowiańskich, osiadłych ongiś, przed wiekami nad Odrą i Łabą i sięgających aż ku Hamburgowi, pozostała garstka nieznacząca, licząca zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Ci Lużyczanie Górni i Dolni, rozciągający swoje sadyby pasem nad Sprewą na północ ku Berlinowi, mieszkający w górzystym kraju i w równiach lesistych i w błotnistych borach, zachowali po dziś dzień pradawny obyczaj słowiański, strój i mowę własną, bliską polskiej, ale bardziej archaiczną, jak archaiczny jest ich upór wytrwania w wielomilionowym państwie niemieckim.

To naród, który i teraz posiada swoją kulturę, swoje piśmiennictwo — i to nie od wczoraj, ale od XVI stulecia. Nadchodziły nieraz ciężkie dni, ale pomimo tego słowo lużyckie, utrwalone raz w druku, rozwijało się i dawało świadectwo istnienia. Co prawda do końca XVIII stulecia służy lużycka literatura niemal wyłącznie sprawom religijnym. Lecz pomimo tego sam fakt czytania dzieł religijnych po lużycku wpływa walnie na

podtrzymanie ducha narodowego. Wiek XIX wniósł razem ze spotęgowaną świadomością narodową do lużyckiego piśmiennictwa nowy pierwiastek — poezję patriotyczną. Doszła ona do pewnej doskonałości w pierwszej połowie stulecia dzięki twórczości Handrija Zejlerja, a w drugiej nabiera gładkości i delikatności wyrazu w twórczości Jakuba Barta Ciszynskiego.

To są dwa zasadnicze pierwiastki: Bóg i ojczyzna literatury Lużyczan. Przytłaczają one wszystkie inne, ponieważ pisarzami są przeważnie duchowni, którzy owe literackie powołanie uważają za służbę ojczyźnie, narazonej wciąż na wynarodowienie.

Z takim dziedzictwem rozpoczęło twórczość poetycką dzisiejsze pokolenie pisarzy lużyckich. A jeśli dziś, pomimo rozlegających się wieści, że narodowi lużyckiemu kracze wciąż los jeden wyraz: *morituri* — mający umrzeć, rozwija się i doskonali ich literatura, to dzięki przede wszystkim temu, że klęska Niemiec w wojnie światowej obudziła w nim nadzieję wyzwolenia. Nie była to nadzieja płonna, bo przecież sprawa lużycka weszła pod obrady Kongresu Pokojowego. Co prawda stopięćdziesięciotysięczny naród nie mógł liczyć na niepodległość, gdyż zbyt głęboko tkwi w organizmie niemieckim, aby się mógł z niego wyodrębnić, ale zyskał pewną gwarancję praw rozwoju narodowej kultury.

I to właśnie ożywiło bicie serc lużyckich, dodało na chwilę wiary, wzmocniło na chwilę ruch polityczny i literacki. Jednak wzmocniony ruch czasopiśmienniczy nie miał powodzenia, i tylko istniejące od lat kilkudziesięciu *Serbskie Nowiny* przetworzyły się z tygodnika na dziennik i do dnia dzisiejszego,

pomimo trwogi o utrzymanie się, pozostają jedynym łużyckim piśmie codziennym, kolportowanym codziennie autem po niewielkich Łużycach. Kolportaż to nad wyraz interesujący, to też skorzystało się z okazji pobytu na Łużycach i objechało w ciągu populudnia razem z szoferem spory kęs ziemi łużyckiej.

Pewnie zadziwi niejednego, że od lat niemal dziewięćdziesięciu wychodzi *Czasopismo Macierzy Łużyckiej*, organ naukowy, służący kulturze narodowej. Mają poza tym Łużycanie obok kilku pism religijnych miesięcznik literacki *Łuzica*, w którym pojawiło się w ostatnich dziesięciu lat sporo przekładów z polskiej literatury, wśród innych wiersze Kochanowskiego i Mickiewicza. Mają też Łużycanie w Budziszynie własną drukarnię i księgarnię, lecz niestety zaledwie kilka książek w ciągu roku ukazać się może.

Tak przeto w Budziszynie, zwanym z powodu uroczego położenia i dawnej kultury easką Norymbergą, ogniskuje się ruch kulturalny górno-łużycki, natomiast Dolni Łużycanie, należący do Prus i używający nieco odmiennej mowy, nie posiadają ani jednego organu, w którymby się mogli wypowiadać. Był co prawda wydawany dla Dolnych Łużycan *Bramborski Casnik*, lecz r. 1933 władze niemieckie nie zezwoliły na dalsze jego rozpowszechnianie.

Lecz pomimo licznych trudności, z jakimi muszą się borykać pisarze łużyccy, czasy powojenne wykazują poważny rozrost literatury łużyckiej, spowodowany nadzieją swobody narodowej, jaka Łużycanom zaświtała na chwilę.

Wolność ojczyzny, czy raczej tylko marzenie o niej, pobudziło ks. Józefa Nowaka do podjęcia poezji patriotycznej, przepojonej mesjanistyczną wiarą w odkupienie ojczyzny. Dawny to ton, dominujący w zbiorze Nowaka *Z duchem swobody*, dawny i roman-



Ks. Józef Nowak

tyczny, ale w poezji Nowaka nad wyraz świeży i pociągający. W jednym z późniejszych wierszy (*Adwent*) kojarzy poeta moment przybycia Zbawiciela z wiarą w zesłanie Odkupiciela narodowi łużyckiemu.

Wola więc poeta:

Roso ty, która chłodzisz serbskie niwy,  
wstając rankiem — suche rzeźwiz pola,  
przynies nam Zbawcę świętego!  
Ziemio święta, ojcowskim potem uznojona,  
ty, ziemio, której grudy są nam płodne,  
ty, w której serce nasze bije,  
w której się dusza nasza serbska kryje,  
Zbawcę z różami daj nam wiosennymi,  
wraz z żytem płowym, ze złotą pszenicą  
żniw naszych letnich daj nam Zbawcę!  
W błogosławieństwie bogatym jesieni  
upragnionego splot Zbawcę!

Nowak, pragnąc obudzić w narodzie wolę do zachowania bytu, pisze dwa dramaty *Ostatni król* i *Kobieta wolności*, w których pragnie wyczarować zamierzchłą przeszłość Łużycan, uprzytomnić te czasy, kiedy jako wolny naród, posiadający własnych królów, bronili się dzielnie przed niemieckim najeźdźcą.

Jeżeli Nowak ma mesjanistyczne spojrzenie na losy swego narodu, to drugi współczesny poeta łużycki Jan Skala w zbiorze wierszy *Okruszyny* staje przed nami jako poeta bojowy. Nie mówi o przeszłości, lecz spogląda na teraźniejszość, raduje się nadzieją wolności, wzywa naród do obrony przeciw obcemu uciskowi, każe mu bronić każdej piędzi ziemi i nie ustępować. Wierzy w siłę twórczą swego narodu, bo przecież już od lat tysiąca jest w niewoli, uciskany i poniewierany, a jednak nie zginął jeszcze, nie stracił wiary w siłę własnego ducha.

W zbiorze *Iskry* zjawia się przed nami Skala z innym obliczem. To poeta miłości do kobiety, tematu prawie niespotykanego w łużyckiej literaturze. Dlatego też słabe i niepewne są u Skali wyznania miłosne, naiwno-sentymentalne, dawno przebrzmiałe w piśmiennictwie nawet pośledniejszych narodów.

Natomiast subtelnym poetą miłości, pierwszym piewcą wszechstronnych uczuć skierowanych do kobiety okazuje się Jan Lajnert, którego niewielki zbiorek: *Okrzyki radości, krople łez*, odznacza się dużą różnorodnością nastrojów, dużą świadomością formy i wyrazu. Poeta ten wyśpiewał różne melodie miłosne: od bajki, uwielbienia, wesoloci i beztroskiej żartobliwości do żalu, zwątpienia i rozpaczki, a wkońcu wiary w piękno życia.

Gdyby Lajnert nie zamilkł nagle, lecz kontynuował twórczość poetycką, zajęłby niewątpliwie ważne miejsce wśród poetów swojej ojczyzny.

Niżej znacznie od tych trzech poetów stoi kilku jeszcze innych, wśród których godzi się wymienić Pawła Krjeczmarja i Pawła Wiciaza. Pierwszy z nich tworzy wierszyki bezpretensjonalne, nadające się do deklamacji wśród ludu, drugi zmarł zbyt wcześnie, aby się mógł wydoskonalić w sztuce poetyckiej.

Jeśli poezja łużycka miała i ma dzisiaj wybitniejszych przedstawicieli, to proza nie zdobyła się jeszcze na powieść w ścisłym tego słowa znaczeniu. Co prawda jest kilku nowelistów, jak Mikławsz Bjedrich-Radlubin, Jurij Libsz, J. Winger, Romuald Domaszka, zasilających potrzebę łużyckiego czytelnictwa, lecz wszyscy oni kierują się głównie koniecznością zaopatrzenia ludu w pożyteczną lekturę.

Najwybitniejszym nowelistą poza wymienionymi jest niewątpliwie Jakub Lorenc Za-



Jan Lajnert

leski, czerpiący temat z pradziejów Łużyc i przedstawiający go w duchu symbolistów np. w obszernych opowiadaniach *Łużycy bohaterowie, Kifko, Zapomniana wyspa*.

W pewnym stopniu symbolizm uwydatnił się także w nowelach Marii Kubaszec: *Trędotawy, Czarownica*, najsilniej jednak widoczny jest w licznych nowelach Marcina Nowaka, wybitnego artysty-malarza, który w swojej pracy literackiej, jak zresztą i malarskiej, idzie wyraźnie śladami polskiej kultury.

Podobnie jak powieść, dramat nie ma wybitniejszych przedstawicieli. Wiąże się to pewnie z tym, iż nie było i nie ma teatru łużyckiego, a dla teatrów amatorskich istnieją wprawdzie sztuki np. Jurija Slodeńka i



Mina Witkojc

Marii Kubaszec, lecz mają one swój odrębny charakter i nieznaczny poziom artystyczny.

Nie ma różnicy między Górnymi a Dolnymi Łużyczanami w ich dążeniach zachowania narodowości, ale istnieje różnica w mowie. Dolni Łużycanie, należący do Prus, je-

szcze działają, jeszcze żyją w t. zw. Błotach, niedostępnych i leśnych, kędy Sprewa rozlała się dziesiątkami ramion, gdzie jeno wąską ścieżyną lub czołnem przedostać się można. Tam płonie jeszcze tłumiony wciąż płomyk poezji narodowej; w języku Dolnych Łużycan tworzy od lat kilkudziesięciu przeżywający w Ameryce, zdala od swej „domizny“ Mato Kósyk. Tam w owych Błotach podtrzymuje ducha Mina Witkojc, poetka o nieprzeciętnym talencie.

Łużycanie to mały naród, najmniejszy chyba na świecie, niewielka też jego literatura, bo jakże może być inaczej? Ale to naród wytrwały, twardy i pełen wiary, że przetrwa i przetrzyma wszystkie złe moce, że nie zginie.

JOZEF GOŁĄBĘK

## DWA W I E R S Z E

### CZŁOWIEK

*W niereczywistym tym istnieniu  
Kim jestem nigdy się nie dowiem.  
Niewolnik czasu i przestrzeni.  
Pył pyłu we wszechświecie—człowiek.*

*Mój byt u podstaw swych się spleta  
Z nieodgadnioną tajemnicą.  
A wyrażony w świetlnych latach  
Rozplywa się w tragiczną nicość.*

*I zerem wobec gwiazd ogromu  
Jest wszystko z czego ja wyrosłem.  
A jednak... myślą swą świadomą  
Przenikam i ogarniam kosmos.*

*Rozbijam atom na fotony.  
Trójwymiarowe kruszę pęta.  
I rosnę myślą w nieskończoność  
Przez mózg skończony niepojętą.*

### C Z A S

*Płacze się skutek z przyczyną  
W wszechświata rytmicznych strofach.  
Czas może naprzód wciąż płynąć,  
Lub bezustannie się cofać.*

*Sekundy, lata i wieki  
W kosmicznym gubią się pyłe.  
Zawsze tak samo dalekie  
Są dla nas wszystkie chwile.*

*Istoty najgłębszej treści  
Nie można formą uprościć.  
Przeszłość i przyszłość się mieści  
W bezmiarze teraźniejszości.*

*Pojęcie czasu się zmienia  
W mózgu substancji szarej.  
I zlewa się z przestrzenią  
W sumę nieznanych wymiarów.*

ZBIGNIEW KASIŃSKI

## PIERWSZA WYPRAWA „BATOREGO“

W autobusie, idącym z Placu Marszałka w Aleję Szucha, im dalej od śródmieścia tym się robiło przestronniej, wreszcie, na dwu skórzanych ławeczkach, blisko drzwi wyjściowych, zostaliśmy już tylko we dwójkę: ja, oraz starszy pan o zaniedbanym wyglądzie i dawno niegolonej, zgrzyliwej twarzy.

Nie pasował mi ten sąsiad do mego ówczesnego nastroju; lecz i on również nierad był ze mnie. Nieprzychylnie obserwował rozradowany uśmiech, którego nie umiałem ukryć, wreszcie rzekł z pewną irytacją:

— Proszę mi wybaczyć, że nieznanego zaczepiam, ale... czego się pan właściwie cieszy? Nie widzę wcale powodów...

Speszył mnie tak dalece, że nie zdołałem na poczekaniu wymyślić żadnego usprawiedliwienia, to też najwyczajniej w świecie powiedziałem prawdę.

— Widzi pan, ja za tydzień będę już na morzu. Jadę na „Batory“ w dziewięć podróz do Nowego Yorku.

Trzeba było widzieć, jak się ten człowiek zmienił. Przekrwione, smutne oczy rozblyły, wygładziły się gorzkie zmarszczki koło ust; wyprostował się cały, ożywił.

— Naprawdę, do Nowego Yorku? Niechże pan jeszcze raz powtórz głośno: Nowy York. Ach, — tu silnie wciągnął w płuca powietrze — przecież się odrazu lżej oddycha. Morze, ocean... aż mnie zaleciał słony powiew.

Autobus hamował właśnie i musiałem wysiadać, a starszy, do niedawna zgorzkniały

pan zerwał się również, by stojąc na platformie powieść w ślad za mną dłonią z przyjazną egzaltacją.

Myślałem o tym człowieku, emerycie, czy też bezrobotnym, patrząc już z pokładu „Batorego“ na zatłoczone ludźmi nabrzeże gdyńskie. Ta sama przyjazna egzaltacja, wiewanie rąk, trzepotanie chusteczek, okrzyki. Ktoś z ładu wola na cały głos: — Szczęśliwi! Szczęśliwi! — Przed pół rokiem ja również zazdrościłem tym, którzy na „Piłsudskim“ mieli po raz pierwszy przemierzyć Atlantyk.

Obecnie tli we mnie jeszcze, coraz drobniejsza zresztą, obawa, że w chwili ostatniej zdarzy się coś, co zmusi mnie do zrezygnowania z podróży. Były już takie zahaczenia: z paszportem, z wizą amerykańską, z walutą, — zapoczątkowane zawese groźnie, a rozwikłane dziwnie łatwo. Niedalej jak przed godziną nastaszyla nas amerykańska rewizja sanitarna, rzekomo bardzo sroga. Potraktowaliśmy ją narazie jako prostą formalność, toteż podczas gdy ja sam załatwiałem sprawę dokumentu dla maszyny do pisania, — towarzyszył mi powiedział:

— Pójdę teraz po świadectwo zdrowia, odrazu dla ciebie i dla siebie.

Poszedł, lecz wrócił niebawem z rzadką miną.

— To jakaś sprawa poważniejsza. Musimy iść razem, będzie badanie lekarskie. Zaoznacze nie wydają.

Gabinet przyjęć wyglądał surowo i niemiłe. Jakieś skomplikowane fotele, jakieś szafki z doбором przyrządów. Gdyśmy się roz-

glądali speszeni a zarazem ciekawi jak to długo potrwa, — wpadł raptem drzwiami od korytarza przemily, szpakowaty pan, wesoly, rumiany, i odrazu kordialnie wyciągnął ku nam rękę.

— No i jakże panowie, zdrowi? O-kej. Zyczą szczęśliwej podróży. Tu obok sekretarz przyłoży pieczętkę.

Uśmiechnął się, wskazał pokój sąsiedni i już go nie było. A myśmy się odrazu nastroili odpowiednio w stosunku do dalekiego, nieznanego kraju. — To rozumiemy, to się dopiero nazywa ułatwienie egzystencji sobie i innym, to jest tempo prawdziwie amerykańskie.

Więc w godzinę później, spoglądając na nabrzeże tłumnie obłożone przez Gdyńian, na błyszczące w słońcu mosiężne instrumenty marynarki wojennej, której grzmiące fanfary, odbijane od ścian dworca morskiego i od fal zatoki, zdawały się wydymać wiatrem sznury kolorowych bander, — myśleliśmy już jedynie o Ameryce i o Nowym Yorku. Bodaj się skróciła podróz, a przedłużył pobyt tam, za oceanem.

Jednak, gdy przy wtórze muzyki i okrzyków „Batory“ wyszedł wreszcie z portu, zrozumielśmy niebawem, że najważniejsze nie jest to, co poza nami zostało, ani to, co nas czeka u końca podróży, lecz to właśnie co mamy ze sobą, pod stopami i wokół siebie: piękny, wielki, mocny polski statek.

Trudno zliczyć ilu Polaków jeździło niedgdyś przez ocean, lecz wiemy w jakich warunkach odbywała się taka podróz. Stłoczeni pod pokładem jak bydło, gorzej, jak martwy towar, który wymaga takiej tylko przestrze-

ni, by się na niej w bezruchu zmieścić, a może się obyć prawie bez powietrza, — płynęli polscy emigranci. Trzecia klasa była zmorem, była czymś tak koszmarnym, że równie dobrze, a raczej równie źle jechało się na gape, gdzieś w ciemnym wnętrzu ładowni węglowej, czy też pod brezentem ratunkowej łodzi. Dziś, najskromniejszy bilet na „Batorego“ daje niemal lukusowe warunki podróży, i tym się tłumaczy duża frekwencja Skandynewców oraz Duńczyków na polskich statkach, bowiem żadna inna linia na Bałtyku nie może ofiarować pasażerom trzeciej klasy wygód tak starannie przemyślanych.

Klasa turystyczna to już komfort, a nawet zbytek, nie ten dawniejszy, polegający na złoconych i marmurach, na wygrzyzionych przez mole aksamitach i zakurzonych sztucznych palmach, — lecz to co podróży ceni najbardziej: dyskretne, nie rażące, nie narzucające się uwzględnianie jego potrzeb.

Gdy pod wieczór, na horyzoncie słońce zaczęło przysiągać, zanim jeszcze w salonach i na werandach uczynił się zmierzch, już niezliczone żarówki ukryte w mlecznych ampłach, w wyżłobionych pod sufitem framugach, w matowych, kulistych żyrandolach, — poczęły roztaczać blask podobny do dziennego światła. W miarę zaś jak od Północnego morza pociągał chłód coraz żywszy, wentylatory tłoczyły do kabin, do hallów i sal coraz więcej ogrzanego powietrza, w ten sposób normując ciepłotę, że mieliśmy w dalszym ciągu temperaturę pogodnego, majowego dnia. Dziwiliśmy się nawet, wychodząc dla dłuższej przechadzki na pokład otwarty, że tam, na zewnątrz, dmie nieomal mroźny powiew.

## MIEJSCE ENKLITYK W ZDANIU

Od kilku lat interesuję się miejscem polskich enklityk w zdaniu i od kilku lat potępia mnie prof. Nitsch w *Języku Polskim*, choć zajmuje stanowisko podobne do mego. Początkowo sądziłem, że zaszło jakieś drobne nieporozumienie, niewarte prostowania, ale ponieważ zarzuty błędów, do których ja się nie przyznaję, powtarzają się i mnożą, uznałem, po ponowniu ich w *Wiadomościach Literackich* z 8 marca b. r., za wskazane oddać sprawę do oceny czytelników *Pionu*, nietylko dla obrony mojej osoby, ile dla wyjaśnienia naczynych zagadnień językowych.

Oddawna bolało mnie kaleczenie współczesnej polszczyzny przez umieszczanie zaimka *się* i innych krótkich form zaimkowych (*mi, ci, mu, mię, cię, go*) oraz końcówek czasownikowych (*-em, -eś, -eśmy, -eście*), koniecznie po czasowniku, wbrew tradycji języka i jego dzisiejszym właściwościom. W związku z tem zamieściłem w *Poradniku Językowym* z r. 1934 artykuł, w którym, nawiązując do artykułu prof. Klicha o rozszerzaniu końcówek czasownikowych partykułą *że* (*robiłem, byliśmy*), uzupełniłem jego spostrzeżenia. Prof. Nitsch dopatrywał się w tem „przygwadźdzenia na amen” końcówek do czasownika oraz tolerowania w nich partykuły *że*, czego nie miałem zamiaru robić i co nie wynika z mego artykułu. Wprawdzie prof. Nitsch przytacza odpowiedni ustęp, ale wiadomo, że z najuczciwszego człowieka można zrobić zbrodniarza, wyjmując ze słów przez niego wypowiedzianych pewne zdania a opuszczając inne. W artykule swoim stwierdziłem tylko stan istniejący w języku, ale stwierdzenie czy wyjaśnienie zjawiska nie jest przecież równoznaczne z uznaniem go za słuszne czy pożądane. Że końcówka czasownika w takim zdaniu jak „stratyście ponieśli” nie należy logicznie do rzeczownika *straty*, ale do czasownika *ponieśli*, to chyba nie mija się z prawdą, a że składniowo należy do słowa *straty*, to inna sprawa i temu nigdy nie przeczyłem. Że pisanie tej końcówki po czasowniku zniekształca język, nietylko zdają sobie sprawę, ale pisałem o tem w *Poradniku* z grudnia 1935 w sposób bardzo podobny jak prof. Nitsch w *Wiadomościach Literackich* z 8 marca 1936. Dlatego nawet gdyby potępiony mój artykuł mógł nasuwać z powodu niezręcznego zredagowania jakieś wątpliwości co do traktowania przeze mnie enklityk, to rozprasza je następny artykuł, a wiem, że prof. Nitsch czytał obydwa.

Większą wartość praktyczną może mieć wyjaśnienie drugiej sprawy. Prof. Nitsch, potępiając moją próbę stwierdzenia miejsca enklityk w zdaniu, wyraża w liście otwartym do p. K. Bleszyńskiego w *Wiadomościach Literackich* uznanie dla jego zasady, że „wyrazy bez własnego akcentu rozmieszcza się w zdaniu raczej dowolnie i swobodnie, jak uchu przyjemniej, kładąc je przedewszystkiem po wyrazach, na których logiczny leży akcent”.

Również moim zdaniem wystąpienie p. Bleszyńskiego przeciw haniebnemu lekceważeniu przez wielu Polaków języka ojczystego, przejawiającemu się w umieszczaniu zaimka *się* i innych enklityk po czasow-

niku, niezgodnie z zasadami języka, zasługuje na pełne uznanie, ale podana przez niego zasada nic nie daje i nie jest zgodna z rzeczywistością w języku. Nie biorę mu tego za złe, bo zasada ta jest trudna do ujęcia, a nie należy do jego zakresu działania. Ale dziwię się, że się z takim uznaniem o niej właśnie wyraża prof. Nitsch, usuwając z niej tylko słowo *logiczny* (przy rzeczowniku *akcent*) i zaznaczając, że „wiele z tego da się dość ściśle ująć — na co tu nie miejsce, — wiele zależy od stylu danego ujęcia”. — A szkoda, że nie podał czegoś konkretniejszego, choćby na tem miejscu, którego użył na przytoczenie i uznanie zasady niedającej żadnych wskazówek, lub dającej wskazówki mylne, oraz na podanie przykładów, które tej zasady nie potwierdzają.

Bo cóż daje zasada zaopatrzona na samym wstępie w słowo „raczej” i zalecająca rozmieszczać w zdaniu wyrazy „dowolnie i swobodnie”? I „jak uchu przyjemniej”. Jednemu przyjemnie tak a drugiemu inaczej.

Kiedy Morcinek w *Biedaszybie* pisze: „Dolina powoli wydłubiała się”, a Gojawczyńska w *Maryjce*: „dopiero gdy te pieniądze znalazły się”, to widocznie tak właśnie jest przyjemnie dla ich ucha. I nie tylko ich, bo wielu literatów tak pieje i mówi, a nie tylko jedyny Wiktor, jak ze zdziwieniem przeczytałem.

Oczywiście wiele „poprawiają” korektory, ale przecież sztyk taki spotykany bardzo często w różnych tekstach, niepoprawianych przez korektorów, i w żywym słowie, zwłaszcza na terenie byłego królestwa, szczególnie wśród inteligencji (tak!), bo u ludu tem mniej, im dalej od inteligencji, że dziwiłbym się, gdyby prof. Nitsch o tem nie wiedział. A więc przeważnie *podświadomie*, bo przy takim rozpowszechnieniu tej mody trudno uwierzyć, żeby wszyscy to robili świadomie, jakby to wynikało z zakwestjonowania tego mego wyrażenia.

Ale wracam do omawianej zasady p. Bleszyńskiego umieszczania enklityk. Trochę dokładniej wygląda ona uzupełniona dalej zdaniem „przedewszystkiem po wyrazach, na których leży akcent” (ale zato mija się z rzeczywistością). Tu następuje przykład prof. Nitscha, bynajmniej nie potwierdzający tej zasady, mianowicie, że „po polsku nie zaczyna się np. ustępu od: *Historycy się nie pokusili o syntetyczny obraz*, ale od: *Historycy nie pokusili się o...*”, natomiast zupełnie odpowiada mojej próbie stwierdzenia miejsca zaimka *się* w zdaniu, którą gdzieindziej rozwinąłem a poniżej streszczam. W zdaniu „Historycy nie pokusili się...” wyraz *historycy* ze względu na podkreślenie wymaga większej samodzielności, mówiąc obrazowo — pewnej wolnej przestrzeni wokół siebie, i dlatego nie pozwala na postawienie przy sobie enklityki, któraby go zlewała w jedną całość z dalszym ciągiem zdania. Powetaje po nim

krótka cezura, po której zaimek *się* stać nie może, bo czulby się tu poniekąd tak, jak na początku zdania, a w języku polskim zaimek ten pierwszego miejsca z zasady nie zajmuje. A więc właśnie zaakcentowanie wyrazu wymaga tu odsunięcia dalej zaimka *się*. Natomiast w zdaniu „Wielu ludzi czuje to instynktownie — historycy się o syntetyczny obraz nie pokusili” zaimek *się* jest właśnie dlatego na drugim miejscu w zdaniu, że mu nic nie przeszkadza zając to ulubione miejsce, gdyż zaakcentowany jest tu nietylko wyraz *historycy*, ale i stojący na końcu zdania czasownik *pokusili*. (Wiadomo, że podkreślenie wypada zwykle na początku lub na końcu albo na obu tych miejscach). A że zaimek *się* bądź co bądź gdzieś stać musi, więc nie natrafiając na taką przeszkodę jak w pierwszym wypadku, zajmuje drugie miejsce, ustalone zwyczajem (mającym oczywiście odchylenia). A więc wcale nie według tej zasady.

Ale to był przykład nie dobierany do mojej teorii, więc jeśli nie ma dostatecznej siły przekonywującej, wezmę jedno zdanie z tekstu prof. Nitscha w tym samym artykule. „Pamiętam dobrze, że się ten korektor sam powołał na autorytet Krasnowolskiego, na co się oczywiście zgodziłem”. Według tezy pp. Bleszyńskiego i Nitscha akcentowane byłyby tu: raz wyraz *że* a raz *co*, bo po nich następuje zaimek *się*. Wątpię, czy kto w to uwierzy. Mnie się zdaje, że w pierwszym zdaniu nacisk jest na wyrazie *sam* a w drugim na *zgodziłem*. Może i inaczej, ale w żadnym razie nie na tych wyrazach, po których następuje *się*.

Wreszcie dla zaokrąglenia zasady powiada prof. Nitsch, że „wiele zależy od stylu danego ujęcia”. Święta to prawda, ale nie wiele więcej mówi niż p. Bleszyńskiego zalecenie „dowolnie, swobodnie, jak uchu przyjemniej”. Zwłaszcza szkoda tych słów ze względu na zastrzeżenie, że „na to tu nie miejsce”, jeżeli to ma oznaczać oszczędność miejsca, a jeśli ze względu na „styl danego ujęcia”, to zagadnienia stylu chyba się nadają do poruszania w *Wiadomościach Literackich*.

Przeciwstawiając tezie pp. Bleszyńskiego i Nitscha swoją próbę stwierdzenia miejsca zaimka *się* i innych enklityk, czuję się w obowiązku podać, jak to sobie wyobrażam.

Zgodnie z tradycjami języka polskiego i dzisiejszym zwyczajem większości Polaków, a zwłaszcza języka ludu, zaimek *się* i inne krótkie formy zaimkowe oraz końcówki czasu przeszłego (*-em, -eśmy* i t. d.) zajmują zazwyczaj drugie miejsce w zdaniu. Trzeba przytem zaznaczyć, że choć stawianie zaimka *się* jest wynikiem wpływu języków ruskich, to działają tu także inne czynniki, a przypisywanie tego zjawiska tylko językom ruskim byłoby zbyt niemiłosiernym uproszczeniem sprawy, nie dającym odpowiedzi na takie przykłady nieprawidłowego szyku wyrazów jak „Fryderyk W. nie słygał z troskliwości o dotrzymanie umów międzynarodowych, gdy dogadzało mu zagarnienie obszarów...” (St. Stronicki, *Kur. Warsz.* 12. II. 1936 wiecz.), a zwłaszcza końcówek czasownikowych *-em, -eśmy...*, które w językach ruskich nie mają odpowiednika. Działają tu także inne czynniki, które omawiam gdzieindziej. Dla krótkości streszczam tu tylko

zasady stawiania zaimka *się*, i tylko najważniejsze.

Zaimek *się* zajmuje zasadniczo drugie miejsce w zdaniu. („Dziwię się”, ale „Ja się dziwię”). Nie zajmuje pierwszego miejsca, a unika o ile możliwości ostatniego (dlatego właśnie „Ja się dziwię”, a nie „Ja dziwię się”). Nie zajmuje drugiego miejsca wtedy, gdy tam jest cezura (stąd: „Warszawa się rozszerza”, ale „Największe miasto Polski Warszawa — rozszerza się”). Usuwanie zaimka *się* z powodu cezury za czasownik powoduje często umieszczanie go na nieodgodnem dla niego ostatnim miejscu zdania, na co łatwo zaradzić, umieszczając między cezurą a czasownikiem jakiś wyraz, a po nim zaimek *się*, a wtedy całe zdanie zyska na budowie (np. „Największe miasto Polski Warszawa — szybko się rozwija”).

JÓZEF ROSSOWSKI

\*

## WYJAŚNIENIE

Wcale nie „od kilku lat potępiam” p. Rossowskiego w tej sprawie: pierwszą, małą notatkę pisałem o tem w *Języku Polskim* za styczeń — luty 1935 (tak), str. 22, a to spowodowało pierwsze, jaki o tem czytałem, jego artykuł w *Poradniku Językowym* za wrzesień 1934 (tak), str. 114. Bardzo proszę o dowód, że się sprawa zaczęła nie kilka kwartałów, ale kilka lat temu. A druga, i ostatnia moja o tem uwaga pojawiła się w *Wiadomościach Literackich* z 8 marca b. r., równie jak tamta, uwaga przygodna, wywołana wyjątkowo trafnym w tej sprawie artykułem p. Kazimierza Bleszyńskiego w temże piśmie z 20 października. Artykuł ten napisałem 4 listopada 1935 (redaktor *Wiad. Lit.* może stwierdzić, że to on go tak przetrzymał) i zaraz potem, 7 listopada, referowałem tę sprawę na posiedzeniu warszawskiej Komisji Komitetu Ortograficznego P. A. U. Uderzyło mnie, że ta Komisja, propagując rozdzielną pisanie grup wyrazowych aż do zalecania z *przed* i z *wolna*, obojętnie przechodziła obok pisania typów: *człowieka-byśmy widzieli i celem* (t. j. *cel jestem*) *po-smiewiska*, co ja uważałem za gorsze, bo pośrednią drogą popierające zanik ruchomości enklityk, a więc szkodzące samemu językowi (czego o pisowni *przed* czy *wolna* powiedzieć nie można). Ucieszyłem się, że Komisja, choć dla niej mój wniosek był niespodzianką, przyjęła go jednomyślnie; z pewnym ograniczeniem utrzymał się on i w ostatecznych uchwałach pełnego Komitetu. Gdy wkrótce potem jeden z członków Komisji zwrócił mi uwagę, że w *Poradniku* z grudnia 1935 pojawił się artykuł p. Rossowskiego aż do szczegółów zgodny z moim referatem, zrozumiałem, że p. R. mógł zmienić zdanie pod wpływem owego właśnie artykułu p. Bleszyńskiego; wobec faktu, że z referatu 7 listopada referował w obecności kilkunastu osób, nie miałem powodu artykułu z *Wiadomości* wycyfrować: nikt mi nie zarzucił, że to powtórzenie artykułu pana R. — Tyle co do chronologii.

Co do rzeczy. Na ściśle ujęcia i tu nie miejsce, z dwu powodów: bo to rzecz wymagająca całej językowej rozprawki, i żebym jej jeszcze w całości dać nie mógł. Ale do celów praktycznych ona zbyt cenna. Zupełnie wystarczy jaknajszersze rozpowszechnianie



JEREMI KUBICKI Panneau w pokoju dziecięcym na statku „Batory”

Na oceanie, gdzie przestwór wodny nuży czasem pozorną monotonią wzrok lądowego człowieka, każdy zakątek okrętu musi sprawiać radość oczom, każdy szczegół musi cieszyć i bawić, nie narzucając się jednak krzykliwe. Od pierwszego do ostatniego dnia podróży wielka, półkolista weranda na dziobie

„Batorego” dawała złudzenie słonecznego ranka, nawet przy najbardziej chmurnej pogodzie, tak przemysłnie umiano ją przyozdobić doborom tęczy barw. Zaczisny, w szlachetnych tonach ciemnej zieleni utrzymany wielki salon, miał urok cieniściego lasu, czy też parku, a pokój dziecienny, z którego często gęsto korzystali także dorośli, — był jak miła, stara bajka, niby to znany od początku, lecz coraz to zdradzający nowy jakiś detal, nowy motyw dekoracyjny oglądany z zachwytem.

I nie należało się obawiać zajrzeć głębiej, zetknąć się bliżej ze skomplikowanym mechanizmem naszego hotelu na wodzie. Któregoś dnia, gdy chłód płynący z Labradoru usposobił nas sceptycznie, — pokazano dziennikarzom wnętrze „Batorego”. Dobrych parę godzin, niepomni na to ileśmy zrobili pięt, ileśmy przebiegli korytarzy, — podziwialiśmy, coraz silniej rozgrzani entuzjazmem, szpital i halę maszyn, kuchnię i pralnię, spiżarnię i drukarnię statku.

Skoro „Batory” może pomieścić wygodnie łącznie: pasażerów, załogi i służby do tysiąca osób, jest już to niby pływająca wieś, a nawet miasteczko, nic dziwnego zatem, że wszystko się tutaj dzieje na dużą, nie spotykając normalnie skale. Mechaniczna pralnia pokryta centnarami bielizny brudną, a wyrzucana w rekordowo krótkim czasie śnieżnobiałą i gładko wyprasowaną. W magazynach mieści się wszystko cokolwiek człowiek zamarzy, od trzydziestu pięciu tysięcy świeżych jaj począwszy, kończąc na blisko trzech tysiącach kilogramów wędlin, dziesięciu tysiącach puszek konserw, stu pięćdziesięciu beczkach

piwa, i pół miliona papierosów. A w kuchni, gdzie pod kierunkiem wytrawnego szefa, krząta się sześćdziesięciu pięciu kucharzy i kuchcików, — maszynka do lodów daje sto dwadzieścia porcji za jednym zamachem, sitko cedi herbatę od razu na sześćdziesiąt szklanek, mechaniczna trzepaczka zaś ubija pianę ze stu dwudziestu białek. Nawet tortów nie kraje się ręcznie, tylko specjalna maszyna, podobna do wielkiej korony, dzieli błyskawicznie żądane ciasto na potrzebną ilość porcji identycznych pod względem kształtu i wagi.

Północne morze pohańtało nas trochę, tyle tylko, by uświadomić nam, że płyniemy, Atlantyk zaś rozesłał się gładziutko, bez zmarszczek, z błękitu i słońca podobny raczej do Adriatyku. Tutaj właśnie, piątą dnia podróży spotkaliśmy się z „Pileudskim”.

Bratni motorowiec, wracający z Ameryki, miał się z nami wyminąć z bliska na pełnym oceanie, i ten fakt właśnie był jaskrawym dowodem, że w żegludze nowoczesnej nie ma nic przypadkowego. Czytałem niegdyś z podziwem, że przy budowie mostu oblicza się co do cala odległość, nachylenie i rozpiętość łuku, tak iż prowadzone z obu stron najszerzej nawet rzeki dwa żelazne przęsła muszą się zetknąć i połączyć bez żadnych uchybień. Tak samo myślnie się spotkali, „Batory” z „Pileudskim”, kierowani wiedzą żeglarską i falami radia z odległości wielu mil. Nie zeszliśmy się z boku, błędząc, nie wylądaliśmy ku sobie niespodziewanie, tylko jeden drugiemu ukazyaliśmy się od czoła, wysokimi dziobami odwołując na prawo i lewo morską toń.

Ryczały powitalnie syreny, grały orkiestry ustawione tuż przy burtach, i niby podczas alarmu lodowicy, gdy nie wolno leniuchować w kajutach, — wszyscy pasażerowie oraz ci spośród załogi, którym na to pozwalała służba, — tłumnie wylegli na pokład. Przy idealnie spokojnym morzu „Pileudski” zatoczył zgrabne półkole, podszedł ku nam od prawej burty, zrównał się z nami i towarzyszył „Batoremu” czas jakiś, identycznie podobny, niby własne nasze odbicie. Ze statku na statek niosła się radosna wrzawa, trzepotanie rąk, wiewanie chustek i czapek. U nas, ktoś, wspiąwszy się po drabinie na słup masztu, wolał na całe gardło: — Pozdrowcie naszych w Gdyni. — A na „Pileudskim” ktoś inny gramolił się na burcie, jakby chcąc skoczyć w morze, i darł się tak, że słyszczący go pojedynczo w ogólnym, zachwyconym chórze, mogliśmy niemal rozróżnić słowa.

Jeden polski okręt na Atlantyku to niby patrol odkrywcy, nie miała próba stworzenia nowych wartości, rozszerzenia granic kraju pod względem gospodarczym i propagandowym, lecz, gdy sami stojąc na pokładzie polskiego motorowca, patrzyliśmy na ten drugi statek, czuliśmy się dumni, silni, czuliśmy się przede wszystkim u siebie. Nie los przypadkowy nas tutaj rzucił, tylko świadoma wola, dążąca do świadomego celu. Och, to głębokie szczęście, nie być już upośledzonym kopciuszkiem w zespole narodów morskich, pod trzepoczącą na wietrze białoczerwą banderą czuć dech ojczyzny wszędzie, gdzie się tylko ściśle morski szlak!

JERZY MARLICZ

zasady, że te enkliki wcale nie muszą stać bezpośrednio po czasowniku, że bardzo często lepiej im przed nim; a gdzie mają stać, to już niech każdy rozstrzyga wedle ucha, skoro ścisłych prawideł jeszcze nie ma, a gdy będą, to się ich ogół i tak dokładnie trzymać nie będzie. — Swoją drogą — o ile znajdę więcej wolnego czasu — będę się starał wkrótce rzecz przedstawić.

K. NITSCH

26. IV. 1936.

## POEZJA

STEFAN FLUKOWSKI: *Dębem rosnę*. Warszawa 1936. Skł. gł. Tow. Wydawnicze.

W r. 1929 wyszedł pierwszy zbiór wierszy Flukowskiego *Słońce w kieracie*, w r. 1931 — tom nowel *Pada deszcz*. Trzecia książka jest znów zbiorem wierszy, a raczej poezji prozą, bo utwory poetyckie wielu naszych „awangardowców” lub ciężających ku awangardzie coraz mniej miewają wspólnego z formami wierszowymi. A Flukowski jest właśnie jednym z „prostujących ścieżki” nadchodzącej „nowej” poezji i najwyraźniejszą chyba holdem, jaki jej składa, jest prozaiczna, niemiaraowa rytmika, nie nosząca cech żadnego systemu metrycznego. Co dziwniejsze, Flukowski pozostawia rym, wprawdzie przeważnie odległy, peiperowski, lecz bądź co bądź rym, który ma chyba maskować konstrukcję rytmiczną, której utwory jego nie posiadają. Wyjątkowo tylko trafiają się wiersze o rytmie miarowej, jak *Ofiarowanie* (bez rymów), pisane „polskim” heksametrem lub I część *Kolysanki bokserkiej*. Zresztą prozaiczność poezji Flukowskiego wypływa przede wszystkim z organicznie niepoetyckiej, typowo prozaicznej składni i dlatego też rymy czy asonanse żadnego istotnego znaczenia w jego utworach nie mają, nie są zamknięciami okresów składniowo-rytmicznych. Za przykład tej prozaiczności składni Flukowskiego może służyć dowolny fragment wybrany z książki, na prz. ten z wiersza *Krok*:

„W tej chwili, gdy się stopa oderwie od ziemi i wpród przenosi, powstaje przestrzeń, objęta radosnym wyciem, z polami dwumiennymi. W niej zbudujemy nad jeziorem dom w rozgwiazdę muszek —

krzyku ptaków — w samym środku szeleszczeń drzew — z dachem blaszanym i żelaznym rusztem, gdzie jeziora ognia, pełną, łapczywie liże popiół”.

Jak widzimy, rymy i asonanse (ziemi — dwumiennymi, przestrzeń — szeleszczeń, muszek — rusztem) żadnej roli tu nie grają, na konstrukcji rytmicznej w najmniejszym stopniu nie ważą, są po prostu zbyteczne, jak jakieś szcztakowe, niekonsekwentne organy. A prozaiczność rytmiki też najmniejszych wątpliwości nie budzi. Jeśli formy rytmiczne i składniowe tak niepoetyckie, to gdzie się ekupyły poetyckie walory liryki Flukowskiego? Mówię liryki, bo trudno jednak inaczej nazwać ten gatunek twórczości, z jakim w *Dębem rosnę* mamy do czynienia. Otóż cały ciężar zagadnienia kompozycji utworu lirycznego przenosi autor na obraz, przenosi, symbol, i z pomocą tych wyłącznie środków poszukuje wyrazu dla swych wzruszeń poetyckich. Ale przenosi, symbole Flukowskiego nie są odbiciem tej lotnej wyobraźni poetyckiej, w niepodzianym jasnowidzeniu rzeczywistości ukazującej nam prawdę widzianego świata, metafory jego rzadko są syntezą wrażenia i wzruszenia, obrazy jego mają raczej charakter analityczny, utwory jego są jakby z pedanterią i systematycznością układanymi obserwacjami, obfite peryfrazy mają charakter spekulatywny (np. „gdy ciało... wysiłku mięśni w ruch nie wymienia”). Dzięki zaś przeladowaniu obrazami, rozbudowywanymi pedantycznie w szczegółach, dzięki rzutowaniu motywów na jakieś kosmiczne tła, lub w kosmiczne wymiary — styl obrazowania Flukowskiego jest ociężały, intencje jego utworów często nie są jasne, trudne lub niemożliwe do uchwycenia, a interpretacja ich dla czytelnika niepewna. Np. jak rozumieć znaczenie utworu *Kto?* Zresztą cała zagadkowość poezji Flukowskiego jest programowa, wypływa ona z pewnej pozy na głębię, z obawy przed zarzutem płytkości. Stąd zapewne biorą się w jego wierszach te erudycyjne, sztuczne elementy obrazowania (np.: „wrzuceni na dno wielkiej tlenowej butli, dźwiękający na sobie atmosfery giganta...”, „gwiazdy: optyczne echo tego, co się stało wiele lat temu”) czasem niefortunne, jak np.: „ugina niż izobary”, dostosowane do panującego w tomie peryfrastycznego stylu pretensjonalności. *Dębem rosnę* zawiera kilka cyklów wierszy, jak *Piechota*, *Obraz ośczezu*, *Olimpijskie*, *Wiersze różne* i poematy: *Odwolanie piechoty*, *Kolysanka bokserka*, *Hypnos*, *Mit*, *Kto*, *Odwracam twarz*. Ten obfity materiał poetycki pozwala nam stwierdzić jedno: że Flukowski jest typowym „męczennikiem współczesności”. Trudno by znaleźć w jego twórczości wyraz jakiegóżby zdecydowanej wiary, jasnego poglądu na świat.

Dominującą nutą jest rozterka wewnętrzna, niepewność, relatywizm zarówno w dziedzinie poznania jak i uczucia. Najwyraźniej mówi o tym przedmowa, świadcząca o zupełnej bezradności autora wobec groźną chmurą wiszącą nad nim rzeczywistością. Pozytywny program swej pracy twórczej wyraża autor w takich słowach: „Idąc tak między tymi Scyllami i Charybdami teorii i schematów, doktryn i systemów, wierzymy, że jedynie miara i pragnienie jej odnalezienia, zdolne są uchronić człowieka przed zagubieniem właściwego kierunku nawet wówczas, kiedy płomień walki o zamierzony świat ogarnie go całego”. Widzimy, że program to minimalistyczny: „pragnienie odnalezienia miary”, jakiejś miary, a „świat zamierzony”, z poprzednich słów przedmowy wygląda bardzo niepokojąco i mgliście. W chaosie mało stanowczych jednak ustosunkowań do zastanej rzeczywistości z wyjątkowym natężeniem dźwięczy jeden motyw, to obawa przed nową wojną, przed nową bezmyślną masakrą ludzkości, mającej przecież poważniejsze cele do osiągnięcia. Tym zagadnieniem wojny i pokoju poświęcił autor cykl *Piechota*, *Odwolanie piechoty*, *Obraz ośczezu* i poemat *Odwracam twarz*. Cykl *Olimpijskie* to wiersze sportowe, utrzymane również w „głębinowym”, trochę kosmicznym nastroju przez obfitość planów obrazowych, myślowych i uczuciowych najczęściej trudne do zrozumienia w intencjach, w zależnościach motywów. Np. niezrozumiały dla mnie i przypadkowy stosunek motywów pszczoły i pływaków, na którym oparł autor kompozycję wiersza *100 metrów dowolnym*.

*Dębem rosnę* — to książka ambitna, lecz zarazem pretensjonalna i pełna sztuczności, ciekawa jako wyraz bogatej osobowości autora i zrażająca do siebie stylem przeladowanym obrazami, ociężałym, mniejsza już że prozaicznym, lecz często nieskładnym w swej prozaiczności. Przy tym ta obfitość obrazów wynika raczej z jakiegóżby pracowitości fantazji niż z jej nieskrępowanej, pełnej wdzięku lotności, jak to bywa u innych poetów.

Uważam, że proza Flukowskiego jest znacznie cenniejsza od jego poezji.

KONSTANTY DOBRZYŃSKI: *Czarna poezja*. Poznań 1936. Nakładem „Orędownika”.

Wiersze Dobrzyńskiego świadczą, że są w nim zadatki, możliwości poetyckie. Posiada on jednak wrodzoną łatwość automatycznego wierszowania i rymowania i ta niebezpieczna zdolność wiedzie go na mielizny poetyckiego banału, wytartego frazesu. W obiegowych epitetach, przenośniach, zwrotach, słownictwie Dobrzyńskiego jest coś dziennikarskiego, jest ten pośpiech, zważający tylko na ilość słów, które trzeba napisać, a nie na ich jakość. Toteż poezja jego jest królestwem „poetycznych” obrazów i rymów, oklepanych aż do doskonałości, takich jak np. przytoczony fragment z wiersza *Do poezji*:

„...Twe promienne oczy  
Głębsze niż wszystkie w świecie oceany  
Swoją lazur wzięły z niebieskich roztoczy —  
Ciało Twe bielsze ponad morskie piany.

Uśmiech Twój wonny, to symfonia świata —  
Najduńniejsza w wszechświecie piosenka,  
Przez palce Twoje złości się jutrenka  
I cudną głowę w obłok róż opłata... i t. d.

Zdarzają się w jego wierszach podmuchy świeżości, czasem śmiały obraz, dobra alegoria, wiersz skomponowany bez zarzutu, ale najczęściej nawet dobre w zasadzie pomysły poetyckie, świeża symbolika, rozpliwają się w gadulstwie i banale. „Cudności”, „upojności”, „wonnosci”, „kwiecista”, „ciszy” — w wierszach Dobrzyńskiego nadmiar. A oto kilka interesujących przykładów jego obrazowania: „mieściąc... rozrabia srebro w nieb palecie”, „turkusowych upoję laguny”, „olsnienia szkarlaty”, „dotykam w przestrzeń rozpyloną nogą”, „jażi rozrucilem w ciemnych mroków kliszę”, „klomby w atlasie trawy kucnęły przysiadem”, „limba wyrosła wśród piarg” i t. d. Patos Dobrzyńskiego, szorstkość, nastroje buntownicze są równie banalne jak i nastroje „subtelny” liryzmu. Wiersze Dobrzyńskiego pozostają pod auspicjami ruchu „narodowego”. P. Marian Seyda pisze o nich w przedmowie, że to „piękny kwiat, rosnący na narodowej glebie”. Może istotnie na „narodowej glebie” są te wiersze kwiatem, w ogrodzie jednak poezji polskiej (że puszczyć się na podobną metaforę) spełniają one raczej rolę chwastów.

WŁ. SEBYŁA

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

Jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”: Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9.41-53).

## POWIEŚĆ

H. BOGUSZEWSKA i J. KORNAKCI. Zespół literacki „Przedmieście”: *Wisła*. Powieść. Lwów — Warszawa 1935. Książnica-Atlas.

Oryginalny przede wszystkim jest temat książki. Spółka H. Boguszevska i J. Kornacki umie wyszukiwać sobie tematy. Tym razem spółka wkroczyła do ziemi nieznannej i w myśl hasel zespołu „Przedmieścia” dotarła do życia ludzi nieodkrytych przez pisarzy „burżuazyjnych” — do mieszkańców berlinek, w ziemie tulących się do brzegów Wisły, wiosną i latem krążących z towarem po rzece.

Ta pomysłowość zasługuje na uznanie i to samo odnosi się do autentyzmu ujęcia. Spółka autorska przedstawiła w swej książce bytowanie wodnych ludzi, dla których życie na łądzie jest nie do pojęcia i nie do przyjęcia, którzy żyją i umierają na wodzie, a jeśli nawet zejść na ląd zimą, to tylko. aly pić do upadłego; ale latem wracają na swoje barki, łodzie i berlinki. Woda ciągnie w nieodpartym sposobie nawet starego siedemdziesięcioletniego Dobrzyńskiego, który co jesień ściera na wieś do zamecznych córki, ale wiosną śpieszy za bosmana do Apolonii Matyjas. Ta Apolonია to kapitalny typ „wodniaczki”. Męska w ruchach i postaci, na wodzie znająca się lepiej niż niejeden mężczyzna, o surowym usposobieniu i takiejże etyce — jest postacią, która najlepiej i najcharakterystyczniej reprezentuje człowieka z Wisły.

Tym razem niepodobna oprzeć się wrażeniu, że autorzy dobrze i dokładnie zapoznali się z tą szczególną rasą ludzi i z ich życiem, bo nauczyli się nawet języka żeglarskiego i swobodnie rzucają takimi nazwami jak *ferdeka*, *bumsztak*, *lonbak*, *plichta* i t. p., nie troszcząc się o przeciętnego, szarego czytelnika, który mógłby spodziewać się na końcu książki słowniczka, wyjaśniającego te terminy. Niestety szary czytelnik musi szukać wytłumaczenia na własną rękę.

Jako nowość u Boguszevskiej i Kornackiego należy uznać brak stanowiska klasowego w oświetlaniu tego wodnego świata. Życie ludzi z Wisły jest ciężkie i mozolne, ale ich trud nie wskazuje na krzywdę społeczną i nikogo nie przedstawiają autorzy, w kimby tła tłumione okolicznościami zarzewie buntu. Ci „wodniacy” to jakby osobna kasta ludzi, obca w jakiś szczególny sposób życiu lądu. Nie idą szukać grosza na ląd, bo go ma im przynosić woda. Żyją ze swoimi, żenią się wśród swoich i mówią o swoich sprawach, niezrozumiałym dla lądowców językiem. Nie słychać wśród ludzi z berlinek o szkole, kościele, o wyborach, podatkach; za to pogwarki idą o wodzie i wodnej pracy, o pogodzie, uszkodzeniach i naprawach przeciekającej burty, czasem o topielicach, wołających po nocy ku przepływającym statkom.

Ci napewno nie idą w pochodzie pierwszomajowym, ale wtedy gdzieś dole Wisły spychają berlinki z towarem. Odsuwa ich od miejskich wymysłów nierobiąca sobie nie z człowieka natura. Życie ich zamiera z nadejściem kry, a ożywa z jej spłynięciem. Wydaje mi się sukcesem artystycznym spółki literackiej, że uniknęła zabarwień klasowych w stosunku do tych ludzi.

Należy podkreślić zmianę na lepsze, jeśli chodzi o styl i język *Wisły*. Tak chętnie stosowana poprzednio soczystość wyrażań i niezdolna mania „prostoty” stylu zmniejszyła się o wielki procent. Jeszcze nazbyt często spotykamy się ze stosowaniem zdań pytających („To i cóż z tego, że...?”), ale mniej naogół poprzedniej, do rozpaczki doprowadzającej czytelnika manieryczności. Została co prawda jedna ulubiona forma, po której każdy pozna autorów — forma nieosobowa: Strasznie się nie chce, idzie się, bierze się i t. d. To już *specialité de la maison* najczystszych członków „Przedmieścia”.

Kompozycja była dotąd i pozostała najsłabszą stroną obojga autorów. *Wisła*, może skutkiem współpracy dwu różnych piór, rozpada się na fragmenty słabo powiązane. Nagromadzone do zbytku, drobne akcje urywają się w niedpowiednich miejscach, powodując niezrozumiałość treści. Trzeba nieustannie trzymać w pamięci wszystkie nitki tych akcji, żeby zorientować się ostatecznie w osobach i sprawach, o które chodzi. Nie jest to nawet fragmentaryczność, ale po prostu wadliwość kompozycji.

ZOFIA MIANOWSKA

\*

MARIAN RUTH BUCZKOWSKI: *Tragiczne pokolenie*. Warszawa 1936. Tow. Wydawn. „Rój”.

Z pewnością powieść *Tragiczne pokolenie* budziłaby mniej zastrzeżeń, gdyby nie jej tytuł. Chorobliwie egocentryczny pamiętnik młodego gruzlika, — podniesiony do godności jakiegóżby *Spowiedzi dziecięcego wieku* — jest chyba tylko nieporozumie-

niem. Czyżby autor istotnie przypuszczał, że „otarcie się” o brutalność wojny i podglądanie żalotów żołnierskich wytworzyło właśnie taki typ ludzi chorych pod względem fizycznym i psychicznym? Przecież chyba obecnie neurastenik z okresu modernizmu, wyolbrzymiający swe najdrobniejsze doznania do wielkości katastrof — jest dla nas tylko ciekawym obiektem psychoanalizy.

A może chociaż chorobliwe przeżycia bohatera są wspólne wszystkim gruzlikom dwudziestoparoletnim? Wydaje się jednak — że „tragizm” naszego pokolenia polega na czymś innym, a mianowicie na tym, że prawie wszyscy autorzy — przesyleni aż do młodości teoriami Freuda — ciągle błądzą w mrokach podświadomości i patologicznych stanów uczuciowych. Łatwo zrozumieć, że psycholog zajmuje się kilkaset razy podobnymi przeżyciami, gdyż one służą mu do stwarzania naukowych uogólnień i praw, ale naprawdę trudno jest pogodzić się z ciągłym „wykrywaniem” w literaturze wykrytej już przecież przez freudystów mechaniki kojarzeń, wyparć, kompleksów i t. d.

Zresztą trzeba przyznać, że autor *Tragicznego pokolenia* robi to inteligentnie. Uzasadnia przerst samoanalizy Julka chorobą i kilkuletnim usunięciem od spraw naprawdę ważnych; uzależnia rodzaj ekscytrzeń i wspomnień od chwilowego stanu zdrowia (tak np. podniecenie erotyczne i związane z tym przypomnienia łączą się z chorobliwą pobudliwością posuniętego stadium gruzlicy).

Równie ciekawe jest połączenie zagadnień psychologicznych z artystyczną konstrukcją powieści. Wprawdzie „zaczynanie od końca” w ujęciu naśladowców Choromańskiego, Nalkowskiej, Boguszevskiej, Kuncewiczowej (nie mówiąc o autorach obcych) staje się już nieomal manierą — ale manierą, która jeszcze ma pewien urok świeżości. Analogicznie do założeń formalnych *Cudzoziemki*, *Calego życia Saby* i in. — aktualność w powieści Buczkowskiego zajmuje mniej miejsca niż wdzierająca się naturalistycznie do pamięci bohatera przeszłość. Podobna też jest motywacja wspomnień. Jakieś wydarzenia, postać, myśl wywołuje skojarzone z nią sytuacje i przeżycia. Prowadzi to do poplątania chronologii, do zmiany konwencjonalnej perspektywy w ujmowaniu wcześniejszych i późniejszych faktów. Przeszłość bohatera trzeba dopiero układać z tych poszarpanych, subiektywnie oświetlonych fragmentów. Łamigłówki są dobre, gdy dają się w końcu ułożyć w zamierzoną całość, i trzeba przyznać, że to udało się autorowi. Czy to dzięki plastyce jego opisów, czy stosowaniu (jednak!) nozornie niedostrzegalnych zasad chronologii — powieść wywołuje wrażenie zamkniętej i skomponowanej całości.

Życie i psychika bohatera zostały oświetlone wielostronnie i wyczerpująco. Okropności wojny, brutalne zachowanie się Kozaków i Niemców — oglądane oczyma ogłupiałej ludności i przerażonych a jednak zadowolonych dzieci — stwarzają mało dotychczas wyzyskany w literaturze sposób ujęcia tych zjawisk.

Nawet postaci epizodyczne, czy to przyjacieli, czy brat Julka, czy wreszcie wdzięczna panna Hanka — występują jasno i wyraźnie, zwłaszcza wówczas, gdy autor opowiada zwięzłym i mocnym stylem realisty.

Ale i w formie wypowiedzi jak w postaci Julka można dostrzec nieprzewidywalne jeszcze nastroje modernistyczne. Liryczne ewolucje przeszłości występują obok brutalnego języka żołdaków. Impresjonistyczne opisy przyrody, przeladowane „malarskością”: „Cienkie strumienie siwym łukiem strzelały w górę, iskrą lamy się wdziedznie i, rozsypany się w rżciowe okrutny promienistym deszczem dzwoniły w biały owal przezroczytej sadzawki” (str. 74) — przeplatają częste — trochę ekshicjonistyczne w swej szczerości i prostocie wypowiedzi — wyrzucenia bohatera.

Do „podniosłego” stylu można by również zaliczyć motto aż z Platona i nastrojowe zakończenie, rozdzierające serce czytelnika pytańkami i wykrzyknikami. „Co ja plotę? Co się w mną dzieje? Głowa boli. O, Boże, odpuść! Matko — — —”

EWA KORZENIEWSKA

\*

STEFAN OTWINOWSKI: *Życie trwa 4 dni*. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Powieść Otwinowskiego należy do licznego klanu książek zhuntowanych przeciw kanonom i niechętnych literackiej tradycji. Bunt? — nie, to słowo nie jest trafne. *Życie trwa 4 dni* jest książką ucieczki, próbą odzienia się od tego, co w życiu każdym ma kształt dosyć twardej i dotykanej jawy. Młodycy bohater powieści odcięty jest — i troskliwie przez autora chroniony — od podmuchów ostrej i prawdziwej rzeczywistości. Autor oddaje Stefka — i nie tylko po-

stać czolową — żywiolom niejawy. Oczy tego chłopca przystosowane są do spoglądania w fantastyczność: Otwinowski chętnie otacza swą książkę klimatem zmierzchu i nocy. Wędrówka przez ciemność nie wiedzie ludzi Otwinowskiego do żadnej przystani: droga ich prowadzi wzdłuż dowolności przypadków. Jest w tej książce atmosfera bezładu, bezładu z trudem organizowanego w słowo. Autor jest zamieszany w bezład — stamtąd troskliwie podgląda swego bohatera, wysysa z niego dojrzwające marzenia; ta sytuacja daje książce rys lirycznej powieści. Okres dojrzwania pod piórem Otwinowskiego przestaje być procesem dramatycznym; mimo pozorów, opowieść ta odległa jest od dramatyczności. To rodzaj liryczny, liryka żarliwa młodości — zapatrzenie w siebie, niedbałość o resztę.

Życie „prawdziwe“ trwa według autora krótko: parę młodych dni, kiedy uderza o nas wstrząsające zdarzenie. Ten wstrząs — jak promień błyskawicy — otwiera, rozjaśnia i zamyka proces poznania. Wtedy — rozumiemy wszystko, potem — coraz mniej, coraz mniej. Przeżywamy wydarzenia dawno minionie, tkwią one mocno w głębszych złożach świadomości. Też swoją stara się Otwinowski uprawdopodobnić kompozycją utworu: czas w jego powieści jest niemal zniszczony i niemal rozbity. Wątek aktualny, wątek narracji teraźniejszej — szybko przechodzi w dawność wspomnienia, aż do kresu nici; aż znowu do głosu dojdzie teraźniejszość. W powieści można jednak odróżnić dwa kręgi czasowe i przestrzenne wydarzeń. Spięte są one w jedność zrecznie i misternie: opowieść o śmierci ojca kończy się pogrzebem prof. Gillo z części późniejszej. Ten pogrzeb, łączący dwa luźne skrzydła, stanowi jakby wtkiewczowskie „napięcie kierunkowe“, gdyby Witkiewicz zgodził się powieść dopuścić do obrębu sztuki czystej i pięknej. Język Otwinowskiego jest wartki, rzadko tylko afektowany, najlepszy w partiach realistycznych. Książka ma karty doskonale — to scena z nauczycielem Niedopilo, przygody Piekelnego w klasztorze — przede wszystkim. Między osadem nieco grząskim analizy psychologicznej są w powieści miejsca, gdzie autor zdobywa pisarskie ostrogi — i dziwne, to miejsca realistycznej narracji, wolne od dbałości o teoretyczne pretensje i *parti pris* autora. Postaci tych epizodów są doskonale postawione, dalekie od rozmazania. Częściej jednak w powieści dochodzi do praw egocentryczny sentymentalizm i ta duszność atmosfery, jakiej wolelibyśmy nie pamiętać. Zegadłowicz jest autorem współczesnym, którego uczepiła się duszna i mdła sentymentalność; między *Zmorami* a atmosferą Otwinowskiego zachodzi raczej powinowactwo niż pokrewieństwo — i to jest w młodym autorze zastrzeżenie. Otwinowski wydaje się bardziej skupiony i bardziej zamknięty, a przeto — daleki od sadyzmu. Galeria nauczycieli u Otwinowskiego składa się z ludzi, budzących politowanie raczej niż niechęć; tylko pan Niedopilo mógłby się znaleźć bez retuszu wśród pedagogów heksidzkiego pisarza. Pani i pan Gillo — dzieje tych dwoj-

ga — to jest najbardziej w powieści podobne do klimatu Zegadłowicza. Szczerze Otwinowskiego bywa daleko idąca, nie zawsze autor umie jej położyć tam. Nasze lata tym się głownie różnią od lat ostatnich minionego stulecia, iż więcej dziś mówimy, iż mniej używamy obsłonek i przenośni. Wyzwolona swoboda — to swoboda gadania. Zachodzi ostra wątpliwość, czy liczyć za zasługę wyzyskiwanie tej pustej i dostępnej łatwości.

Utwór Otwinowskiego nie jest, niestety, samowystarczalny artystycznie; trzeba go podpieścić z zewnątrz, dopełnić. Daleko mu do owej pełni, kiedy dzieło odrywa się od autora, poczyna żywot wolny i niezależny. Czy powieść ta, dotknięta amorfia, dążąca do oddalenia się od swego czasu — jest dokumentem dnia, świadectwem pokolenia dwudziestoparoletnich, jak chce pewien wybitny krytyk? Wątpliwe. Raczej — wysłuchaliśmy głosu jednego z *déracinés*; ten głos objawił skłonność do dziwnego konserwatyzmu — książka Otwinowskiego sugeruje nam, iż własne wspomnienia należy brać za prawo. Suggestia kapryśna jak laśka feodalów — i zupełnie błędna.

Otwinowskiego wliczyć można do rzędu młodych pisarzy, którym ambicja twórcza dyktuje konieczność czynienia „śmiałych prób formalnych“. Z tej śmiałości napewno nie należy sztydzić, gdyby nie kwestia uboczna, którą niedawno dość okrutnie odsłonił w *Czasie* Kazimierz Wyka. Wielu pisarzy zaczyna żywot literacki od prób pogłębienia rzeczywistości, od pewnej perwersji literackiej, lecz — jakże często — niewiele ma do powiedzenia czytającej publiczności; obojętne, czy to będzie nudny nadpsychologizm czy zajadła a nie zawsze pomyślna w skutkach obserwacja t. zw. szarego człowieka z jego kusymi namiętnościami. Wiara w piękno formalnej nowości nie może upoważniać autorów, aby czytelnika wciągali w przestrzeń zimną, ciemną i nieinteresującą. Nie wolno dbać tylko o środki wyrazu, lecz także, przede wszystkim — o wyraz.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

## TEORIA LITERATURY

JERZY PUTRAMENT: *Struktura noweli Prusa*. („Z zagadnień poetyki“ nr. 2). Wilno 1936.

Niewątpliwie książce tej można wiele zarzucić. Tak n. p. wymienia ona jako charakterystyczne cechy noweli krótkość, ciążenie ku zakończeniu i jedność zdarzenia, a przecież tylko trzecia z tych cech była by rzeczywiście istotna, gdyby została jako bliżej opisana i sprecyzowana. Można by sądzić, że autor załatwi tę sprawę w klasyfikacji, która w związku z definicją powinna się oprzeć na rozróżnieniu zasadniczych typów *noweli* i *tytułu* z *tytułu* zdarzenia; niestety, książka podaje klasyfikację inną, pobieżną i dość mechaniczną. Autor wyróżnia i rozpatruje kolejno na materiale twór-

czości Prusa następujące typy strukturalne: 1) praeformę noweli (anegdota, reportaż, felieton); 2) nowelę intrygi, w której dominującym elementem jest akcja; 3) nowelę-szkic, gdzie akcja gra skromną rolę więzi zewnętrznej; 4) szkic powieściowy, stanowiący pomost do właściwej powieści (nie ma tu już jedności zdarzenia lecz kompleks zdarzeń); 5) nowelę fantastyczną, występującą u Prusa w postaci osobnej. Ta klasyfikacja tworzy podstawę kompozycyjną książki, ale też ona jest jej piętą achilleową.

Anegdota to czysta, abstrakcyjna fabuła; reportaż — to czysty opis. Rozróżnienie takie budzi wątpliwości. Przecież wartością anegdoty jest nie sam schemat fabularny lecz swoisty, właściwy temu gatunkowi literackiemu sposób podania; anegdoty są czymś więcej niż abstrakcyjnymi dowcipami, mogą one charakteryzować ludzi, epoki itp. W reportażu znowu podkreśla Putrament jako więź strukturalną jedność miejsca; i tu zostaje wyminięta specyficzna wartość tego gatunku literatury: autentyczność, odkrywczy skok w nieznaną, metafizyczne ryzyko spojrzenia na rzeczywistość od nowa, jak gdyby po raz pierwszy — wbrew narzuconym nam przez tradycję konwencjom widzenia i pisania. Czy ten głęboki przedział między definicją strukturalną, jako podstawy specyfikującej gatunki literackiej, a opisowym ujęciem wartości, bezpośrednio nam danych w obcowaniu z owymi gatunkami, nie jest niepokojący?

Jeszcze więcej zastrzeżeń budzą dalsze operacje klasyfikacyjne Putramenta. Jego zasadniczy dwupodział (nowela intrygi — nowela szkic) opiera się na wyodrębnieniu motywów dynamicznych, opowiadania, i przeciwstawieniu ich motywom statycznym, opisowi. Typ pierwszy, nowela intrygi, charakteryzuje się przewagą akcji, stanowiącej dominantę strukturalną; w typie drugim, noweli-szkie, akcja nie stanowi elementu panującego. Cóż więc organizuje tu bezkształt opisowego materiału? Problem! — odpowiada niespodzianie autor, i tu już mamy do czynienia z jawnym nieporozumieniem. Jakże problem (np. wpływ muzyki na duszę ludzką) może stanowić „więź strukturalną“, równoważną logicznie takim pojęciom jak opis, akcja, sytuacja etc? Problem życiowy, problem „jako taki“ nie jest przecież kategorią poetyki! Przyczyna błędów tkwi, zdaje się, w tym, że w gruncie rzeczy, pozytywnie i konkretnie widzi Putrament tylko jeden typ noweli, nowelę opartą na akcji; pozostałe typy określa jedynie negatywnie, tym, że *nie* ma w nich akcji w roli elementu dominującego. Następcę tej wadliwej klasyfikacji są oplakane. Ubogi, nielewy mechaniczny dwupodział prowadzi raczej do schematyzacji i poszlakowania, aniżeli do pełnego obrazu twórczości nowelistycznej Prusa. Tak np. autor, bezradny wobec noweli-szkie, stwierdza, iż „cały szereg nowel Prusa nie posiada wyraźnie określonych cech strukturalnych“. A może to raczej autorowi zabrakło

dość wyostrzonych narzędzi poznawczych, aby uchwycić i wyrazić owe cechy? Nie mogąc pomieścić się w ciasnych ramach dwupodziału, wprowadził Putrament jako odrębną kategorię nowelę fantastyczną, a więc znowu pojęcie z innej płaszczyzny niż fabuła i problem. A przecież miał autor pojęć do rozporządzenia pod dostatkiem: obrazek, portret, gawęda, opowiadanie, nowela psychologiczna... i w oparciu o nie mógł być dać o ileż pełniejszą i bardziej konkretną typologię strukturalną noweli.

A szkoda jest wielka, tym więcej, że skądinąd ujawnił Putrament w swej pracy znaczną spostrzegawczość i subtelność w szczegółach. Jego praca, ułomna w ogólnej koncepcji, przynosi wiele cennych uwag o nowelach Prusa. Różne spostrzeżenia i ujęcia — jak to, że *Konkurs żniwiarek* stanowi szczyt w zakresie symbiozy anegdoty i reportażu, lub iż *Na Saskiej Kępie* i *Powiatki cmentarne* mają charakter parodii literackiej, lub że pogoda atmosfery w *Przygodzie Stasia* uwarunkowana jest pewnym drobnym chwytym strukturalnym, — stanowią istotny i cenny wkład do naszej wiedzy o artyzmie Prusa. I trzeba żałować, że autor tak rzadko odbiega od rygorów swej niefortunnej klasyfikacji; czemu np. tyle miejsca poświęcił bardzo nieciekawej analizie *Orfeusza* jako *typu* o *typu* o przykładowi noweli-szkie, a tak mało mówi o *Kamizelce*, której osobliwa, nadzwyczaj wyrafinowana i efektowna struktura aż prosi się o szczegółowy rozbiór. W niektórych miejscach autor staje się więcej niż spostrzegawczy bo—wynalazczy. Wprowadza np. ciekawe pojęcia „zblizenie“ i „skróty“. „Zblizenie“ to opis sytuacji w pewnej konkretnej chwili; „skróty“ to ogólnikowy opis czynności poszczególnych postaci bez umiejscowienia ich w konkretnym momencie. Innym wynalazkiem jest pożyteczny termin „rym tematyczny“. Te szczęśliwe i trafne pomysły wskazują, że analiza formalna nie powinna ograniczać się do kategorii i pojęć już ustalonych i spetryfikowanych w konwencjonalnej poetyce, lecz że może wzbogacać swój język metaforyczny o pojęcia nowe, tak jak stale powiększa się i wzbogaca sama literatura.

W ten sposób rzetelne wartości studium Putramenta okupują jego błędy i niedociągnięcia. A trzeba sobie uprzytomnić, że jest to studium bardzo odważne, prekursorskie: ktoś bo u nas zajmował się tak szczegółowo, systematycznie i precyzyjnie zagadnieniami struktury utworów prozy artystycznej? Rozprawa Putramenta jest jaskółką, — jaskółką formalizmu! Wychodzi w świat z wileńskiej pracowni prof. M. Kridla niby wiosenny zwiastun nowej nauki o literaturze. Co kryje się w tej nowej nauce, co leży u podstaw okrzykanego „formalizmu“, — nareszcie mamy możliwość zdać sobie z tego sprawę.

Rzecz ciekawa, na czoło nowel Prusa wysuwa Putrament *Z legend dawnego Egiptu*. Jest to, zdaniem autora, jedyne arcydzieło Prusa w zakresie noweli intrygi. W

## SPOJRZENIA W RZECZYWISTOŚĆ

W nieśmiertelnym *Rewizorze* Gogola jeden z urzędników zapewnia, że nigdy nie bierze łapówek. On przyjmuje tylko podarunki w postaci charciat, charcich szczeniąt. Otóż mimowoli przychodzi na myśl te charcieta, gdy czytamy ostatnie okólniki premiera Składkowskiego. Zakazują one urzędnikom udającym się na inspekcje korzystania z gościny instytucji wizytowanych, korzystania z gościny jednej ze stron, kiedy chodzi o rozstrzygnięcie zatargów czy sporów, pośredniczenie w układach. Zakazują przyjmowania przez urzędników zaproszenia w położenia, jeżeli niema się możliwości zrewanżowania równowartością. Jeden z okólników podnosi, że nieraz gościnnie gospodarz zjawiał się potem w gabinecie zapraszanego urzędnika dla załatwienia spraw...

P. Premier wydał wojnę owym „charciętom“ osławionym. Nie wiemy, o ile charcieta te oddziaływały na tok urzędowania. Więc oddziaływać przestaną. To dobrze. Tylko naprawdę niepoehlebane świadectwo wydały te okólniki środowisku, skoro były niezbędne. Niepoehlebane świadectwo, powtarzamy, i to tym bardziej, że wyostawione zostały do wyższych urzędników. Widocznie trzeba im było przypomnieć to, co każdy sam wiedzieć dobrze powinien, co każdy rozumieć i nie tylko rozumieć, ale wyczuwać musi, co opinia publiczna widziała i potępiała. Nie widzieli tylko zainteresowani.

Ale taka zdumiewająca ślepotą, takie niezrozumienie dla rzeczy całkowicie oczywistych uderza niestety bardzo często.

Oto hierzemy stosunek naszej prasy do wypadków hiszpańskich. Olbrzymia jej większość staje bez zastrzeżeń po stronie... powstańców. Po ich stronie stoi cała prasa „narodowa“. Czy w imię interesu narodowego? Naprawdę? I czy nie zastanawia nikogo, że

pozostaje ona w najzupełniejszej harmonii z — hitleryzmem niemieckim. Tak, ten ma rację. Przecież gen. Franco zapowiedział, że z chwilą zwycięstwa zerwie wszystkie stosunki z Francją. Przecież okrutne niemieckie myszkiują dokola wybrzeży iberyjskich. Przecież już głośno o tworzeniu bazy dla marynarki niemieckiej na Balearach. Prasa europejska jak najściślej łączy te plany z fortyfikacją Helgolanda — zwróconą przeciw Anglii.

I łączy się to ściśle z polityką p. Greisera w Gdańsku, i z planem osiedlenia miliona Niemców w Prusach Wschodnich, i z ową demonstracją hitlerowską w Wiedniu, przed którą ministrowie musieli uchodzić z uroczystości olimpijskiej, która miała być manifestacją pokoju.

Fragmentem tego okrażenia Europy jest pomoc w pieniądzech i broni udzielana rewołcie wojskowej w Hiszpanii — pomoc, o którą gen. Franco głośno zabiega i którą otwarcie kwituje.

I zdumiewający jest patriotyzm owego osobliwego „nacionalisty“ hiszpańskiego, który dla przeprowadzenia wyznawanego przez się programu wprowadza pulki arabskie, wyrzynające w pień (słowa komunikatu generala) oddziały milicji hiszpańskiej, który wzywa cudzoziemców na pomoc przeciwko rodakom. To wszystko ma być interes narodowy? Słusznie pisze jedno z pism francuskich, że wygląda to jak powrót do wojen religijnych, w których strony walczą o dogmaty lub herezje, o zasady i możliwość wprowadzenia ich w życie, walczą bezwzględnie, z niesłychaną krzywdą narodu poniewieranego, deptanego, mordowanego przez obcą pomoc.

Znamy dobrze międzynarodowość świętego przymierza, poręki wydawane przez monarchów przeciw rewolucjonistom, jakobi-

nom, czy jak ich tam kiedyś nazywano. Dziś ci, co sprowadzają obcą pomoc, przybrali nazwę nie legitymistów, ale narodowców. I dzieje się to przy akompaniamencie oklasków „narodowców“ francuskich, którzy wołają ojczyznę otoczoną przez trzy fałszywe, wołają armadę wodną niemiecką na Balearach niż — własny rząd lewicowy. Klasczą też i „narodowcy“ polscy, dla których niknie groza hakaty, wobec grozy lewicy. Tak, tak. Różnice wewnętrzne według spadkobierców świętego przymierza, różnice społeczne donioślejsze są niż całość i potęga *Rei Publicae*, niż sprawa narodu. Nie ma siły, do której by się reakcja społeczna nie odwołała w obronie swego stanu posiadania.

I warto to sobie uświadomić dziś — bo czasy nie są pewne ani spokojne. I wiele jest rąk, które gotowe są i u nas robić taki czy inny porządek. I głów wiele, które chętnie nad naszymi sprawami delibierują. Niebawem znowu zbierze się znamienita piątka lokarnańska, by obradować nad bezpieczeństwem, *de omnibus rebus et quibusdam...* Kanclerz Hitler zastrzegł się, by przypadkiem nas nie poproszono. Ha — może o nas bezpośrednio gadać nie będą — wystarczy jednak, by wspomniano kilkoma słówkami o Gdańsku.

Więc potrzebna jest nam zwartość wokoło sprawy Państwa — zwartość niezależna od zmian i przeobrażeń, jakim podlega ustrój.

A zmiany te postępują. Dzień po dniu zachodzą fakty świadczące o tym z niezbitą pewnością. Ostatnio na własność Państwa przeszła *Wspólnota Interesów*, największe przedsiębiorstwo górniczo-hitniczne na Śląsku. Znikł bastion niemieczyzny. Majątek Rzeczypospolitej powiększył się o nowe setki milionów złotych, a ilość ludzi pracujących na jej rachunek wzrosła o blisko 20 tysięcy.

I nie ma kapitału w kraju, któryby tego rodzaju przedmiot odkupił. I dalej, o ile nie

zorganizuje się planowo rynku na odbiór wszystkiego, co zakłady *Wspólnoty Interesów* wytwarzają lub wydobytąją — niedobór ich jest nieunikniony. A przecie za *Wspólnotą Interesów* pójdą niebawem majątki księcia na Pszczynie. Którędyż droga? Więc nowe niedobory?!

Nie ma innej drogi jak stopniowe organizowanie spółdzielcze całości tych olbrzymich obiektów — organizowanie z jednej strony spożywcę — masy — z drugiej systemu spółdzielni pracy, kontroli, a i wytwórstwa, które ujmą poszczególne kopalnie, hutę itp. na własność społeczną, zwracając Rzeczypospolitej ich cenę. Nie ma, powtarzamy, innej drogi. Państwo wchłania jedno po drugim przedsiębiorstwo, pod parciem konieczności, wchłania — bez z góry powziętego planu — zakłady nieraz konkurujące ze sobą, przejmując ciężar prowadzenia tego wszystkiego, co powstawało w rozgardiaszu liberalizmu. Państwo, tą samą siłą konieczności parte, będzie musiało stworzyć organizm społeczny, który kierownictwo tego wszystkiego przejmie.

W ten sposób wyobrażamy sobie wielką przemianę, ku której zdążamy. Poruszyliśmy nieraz na tych łamach zagadnienie spółdzielczości, jej rozwoju. Jeżeli nie mylą nas znaki na ziemi, stoimy wobec konieczności przyjęcia metod przez nią wyrobionych przez Państwo i zastosowania ich do przeorganizowania własności państwowej, a przynajmniej tej jej części, która obsługiwać będzie nie bezpośrednie potrzeby administracji, komunikacji, obrony — ale spożywcę społeczne.

Mam wrażenie, że to jest droga i dla przyszłych poczynań na polu reformy rolnej, która nie może przecież iść w kierunku drobnienia własności i niszczenia obszarów uprawy zbożowej.

Cóż? Zobaczymy.

ADUZ

wyniku szczegółowej analizy ujawnia się strukturalna dookonałość tego utworu, skoncentrowanego na akcji, której podporządkowane są wszystkie elementy pozostałe. Główny efekt fabularny stanowi moment ostatecznej niespodzianki, zaskakującej czytelnika niespodzianym a przecież logicznym rozwiązaniem, i efekt ten zostaje w znacznej mierze osiągnięty. Czy jednak autor studium nie popełnił niejakiego przeoczenia? Wszak mówi: „Kompozycja — to celowy rozkład elementów tematu dla najsilniejszego wyrażenia zamierzonego efektu”. Ale o jaki efekt ostateczny nie Prusowi chodzi? Nie ma chyba wątpliwości, że intencją pisarza w tym wypadku było ukazanie ironii dziejów, jego zamiarem twórczym — artystyczna problematyka tej idei. I wybór noweli intrygi nie był tu przypadkiem, lecz logiczną koniecznością, uwarunkowaną ową ideą. Z idei bowiem wyniknęło uznanie za wartość naczelną w ujęciu życia nie charakteru i nie psychicznego przeżycia lecz procesu, realnego przebiegu faktów, — a przecież literackim odpowiednikiem tej wartości jest właśnie fabuła, akcja, będąca jak wiemy dominantą strukturalną noweli intrygi. Putrament nie doprowadził interpretacji do końca, nie ukazał ukrytego sensu, który stanowi istotny czynnik organizujący strukturę noweli i jest ostatecznym i nadrzędnym z zamierzonych przez Prusa efektów.

Z pewnością autor książki nie zgodziłby się na moje przedłużenie opisu formalnego; argumenty przeciwko sobie znajdują w tekście. A więc: „Przy komponowaniu całości autor może zajmować dwa stanowiska. Albo wybiera temat i dobiera motywy dla wywołania pewnego efektu artystycznego (t. zw. obraz plastyczny, efekty stylowe), albo i temat i kompozycja motywów mają uwytknąć pewną myśl publicystyczną, mają narzucić czytelnikowi pewien pogląd”. I otóż nowela intrygi wymaga koniecznie pierwszego stanowiska, w niej bowiem „jeśli nawet same motywy będą dobierane z jakąś tendencją pozaliteracką, to jednak uwaga odbiorcy nie zatrzyma się na nich, ale raczej na powiązaniu ich w fabułę. Z tego powodu wartość dydaktyczna czystej noweli intrygi jest niewielka”. — Wypadkiem granicznym, najczystszy typem noweli intrygi, byłaby nowela kryminalna. Ale np. chesteronowskie opowieści księdza Browna mają wyraźny charakter i sens dydaktyczny, głoszą pochwałę zdrowego rozsądku, który do jądra spraw najzawilszych dociera drogą prostą i pewną; i z drugiej strony, prawdziwa ozdoba i perła klasycznych historii kryminalnych są wcale bohaterowie, kreacje suwerenne wszelkimi fabuły: ksiądz Brown i Sherlock Holmes, postaci prawie mityczne. Gdzie więc owa idealna „czysta” nowela?

Ale na tym jeszcze nie koniec kłopotów z nowelą intrygi. Autor studium o Prusie rozróżnia literaturę czystą i stosowaną, i więcej skłonny jest cenić tę pierwszą (bezpośrednie wypowiedzi jego w tej sprawie są dość chwalebne, o czym niżej). Otóż nowe intrygi reprezentują czystą sztukę od noweli szkicu, posiadają strukturę bardziej określoną i jednoznaczna, a przecież — tu autor składa formalistyczne wzniesienie wiary — „struktura w dziele sztuki jest zagadnieniem najistotniejszym, ona decyduje o ostatecznym charakterze całości”. I ewolucja Prusa od noweli intrygi do noweli szkicu, szkicu powieściowego i powieści tłumaczy się natłokiem zamierzeń dydaktycznych, pozaliterackich, które powodują rozluźnienie dyscypliny artystycznej. (Powieść traktuje autor, idąc śladem rosyjskich formalistów, jako zlepek nowel). Logicznie tedy rozumując, za najczystszy, najszlachetniejszy kształt prozy narracyjnej wypadnie uznać klasyczną nowelę intrygi... nowelę kryminalną! Tak, to nie paradoksa, to tylko skrajna i paradoksalna konsekwencja formalizmu!

Bo metoda formalna, jak wszelka zresztą metoda poznawcza, łączy się podziemnie z pewnym systemem wartości, z określoną poetyką normatywną. Kult struktury, przeoczenie, że o wartości utworu rozstrzyga przede wszystkim bogactwo i jakość elementów (tu związek z materiałem, z życiem), a później dopiero ich zestrojony, — oto jeden z podstawowych punktów tej poetyki. Nie przypadkiem też rozpisuje się autor o różnych chwytach czy raczej trickach konstrukcyjnych w nowelach Prusa, choć nie one stanowią o wartości tych utworów. I nie przypadkiem w rozdziale o nowelach fantastycznych przeprowadza tezę, że stopniowy

zanik artyzmu szedł w parze z rozwojem tendencji i dydaktyki, że rozrost idei był sprawcą przyczyną błędów formalnych! Postawa pisarska nr. 1 (zob. wyżej) przeszła w postawę nr. 2 i... autor nie rozstrzyga, czy stało się to ze szkodą dla literatury. Ale cały bieg jego myśli, cały tok rozumowania rozstrzyga to dostatecznie jasno.

Tak więc bliższa analiza książki Putramenta odkryła nam u podstaw poetyki formalnej — poetykę normatywną formizmu. Z ideału „czystości” sztuki, wyswobodzonej z pęt dydaktycznych i poznawczych, z wysunięcia struktury na miejsce naczelną wartości estetycznej, dadzą się wywieść zasadnicze punkty widzenia badań formalnych. Z tego źródła płynie ich siła, ale i tutaj też mieści się sekret słabości ich i niewystarczalności. Rozwiedzenie się nad tym wykroczyłyby jednak poza ramy i tak już przydługiej recenzji.

LUDWIK FRYDE

## LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

*De gustibus non est disputandum.* Żaluję, że Szanownemu Panu sprawozdawcy moje dzieło o katolickim piśmiennictwie w Polsce niepodległej tak grzecznie się nie podobalo, lecz zdanie J. E. Skińskiego, że to jest książka bardzo nierówna, nieraz bałamutna, ma w sobie tyle prawa do życia (literackiego), co opinia J. E. Ks. Kardynała Hlonda, który uważał, że praca moja jest doskonała. Nie chodzi mi o to, bym przeciwstawił surowemu krytykowi surowy materiał zebrany z licznych i pochlebnych sądów, drukowanych i niedrukowanych. Pragnę jednak odpowiedzieć na owe zarzuty rzeczowe, które same nie odpowiadają rzeczywistości. (Por. *Pion*, nr. 15 z 11 kwietnia r. b., artykuł J. E. Skińskiego: „Literatura katolicka w Polsce i u obcych”).

Mniejsza z tym, czy byłem w nielada kłopotcie przy ustalaniu linii granicznej pomiędzy literaturą katolicką i niekatolicką. Uważam czytelnik mojego przeglądu znajdzie przeciwnie, iż określenie piśmiennictwa katolickiego jest dla mnie zupełnie jasne, jako sztuki słowa płynącej z ducha katolickiego i stosowanej w duchu katolickim (str. 8).

Nie wolno powtarzać, jak za panią matką, oskarżenia rozpowszechnione przez propagandę antykościelną, że „w Niemczech katolicy sprzymierzają się z komunistami”. Gdzie i kiedy? Proszę o przykłady. Może p. von Papen zajmuje się propagandą dla Trzeciej Międzynarodówki? Czy bolszewikami są pisarze katolicy, członkowie Niemieckiej Akademii Literatury, np. Carossa, Schnack, Mell, ks. Dörfler i hr. Handel-Mazzetti?

Wracamy jednak do postulatu zasadniczego proponowanego przez pana recenzenta. Zgadzam się chętnie z jego żądaniem: katolickim pisarzem jest autor, który przejął się tak dalece dogmatem religijnym, że to zostawiło wyraźne ślady na jego pracach. Sam powiedziałem to samo, mówiąc o utworach płynących z ducha katolickiego. Niestety na dalszy ciąg twierdzeń p. Skińskiego zgadzać się nie mogę. Piśmiennictwo katolickie pod względem duchowym, miało być ograniczone do twórczości Rostworowskiego, Ilakowiczówny, Baka i Miłaszewskiego. Czy Kasprówiec, Reymont, Weysenhoff, Staff, Ruffer, Kossak-Szczucka, Maryla Wolska, czy Tetmajer, Artur Górski, Jerzy Bandrowski, Liebert, Pawlikowski, Obertńska, Lutosławska nie należą do wiernych dzieci Kościoła?

A co do synów marnotrawnych, co do Przybyszewskiego, Perzyńskiego, Nowaczyńskiego (i tyłu innych). Czy z powodu ich „grzesznego życia” nie mają oni miejsca wśród autorów katolickich? Dla każdego z tych pisarzy mamy wyraźne dowody ich ostatecznej przynależności do katolicyzmu, choćby wiersz Perzyńskiego umieszczony przez Miłaszewskiego w antologii p. t. *Chór wieków*, choćby pamflety Nowaczyńskiego przeciwko klechofobom. Rozważania p. Skińskiego o „nobilizacji” Perzyńskiego przypominają mi starą anegdotę z historii literatury niemieckiej, owe słynne „Hier irrt Goethe” s. p. Düntzera, który udowadniał księciu poetów, że on, Johann Wolfgang, erogo się pomylił, gadając o własnych przekonaniach i uczuciach. Profesor Düntzer o istotnym stanie rzeczy lepiej był poinformowany... A tak p. Skiński zapewne lepiej wie

od samego Perzyńskiego, od Staffa, Tetmajera, Górskiego, ha od Weysenhoffa, Reymonta, czy oni wszyscy byli katolikami z głębi duszy.

Ma się rozumieć: osądziłem „przynależność” religijną poszczególnych poetów na podstawie ich dzieł, a o ile możliwe, osobiście doświadczenia. Można się przy tym pomylić, a pomyliłem się raz, dwa, trzy razy — opis polskich autorów katolickich przedstawionych w moim dziele obejmuje około 300 osób. Że „katolikiem nie był nigdy Zegadłowicz”, o tym Forst Battaglia nie tylko że nie powinien był wiedzieć, lecz tego wiedzieć wcale nie mógł. Wiedziałem, że redaktor naczelny *Tęczy*, wydawanej przez księgarnię św. Wojciecha, był (i jest) autorem długiego szeregu pięknych dzieł o treści religijnej, chrześcijańskiej, katolickiej. Nie odgadłem, że *Nawiedzeni* są wyrazem przekonania bolszewickich, że *Powinogi* *beskidzkie* przedstawiają Confiteor ateizmu wojującego i że *Godzinki*, to wyraz myśli antykatolickiej. Miałem zaszczyt osobistego kontaktu z p. Emilem. W moim archiwum znajduje się długi szereg listów pisanych ręką przyszłego niefortunnie opętanego ciemnowidza *Zmór*. Nigdy, *przenigdy* nie zaprzeczył p. Zegadłowicz w tych listach, iż jest poetą katolickim. W roku 1934 przyjął bez protestu egzemplarz mojego niemieckiego dzieła o literaturze katolickiej powstającej, gdzie umieściłem go jako jednego z czołowych przedstawicieli polskiego piśmiennictwa katolickiego; podziękował uprzejmie i gorąco, lecz nie dziękował za służbę ideałom Kościoła, które odnalazłem w najmniejszych jego poezjach, we wspaniałych jego dramatach religijnych i w pierwszych jego manifestach programowych z czasów *Czartaka*. Pomyliłem się. Kierownik najlepszego tygodnika katolickiego, poeta, który się „wywodził z ziemi”, był komunistą, bezbożnikiem, międzynarodowcem! A więc jednak Zegadłowicz II zapoznał Zegadłowicza I, a Forst Battaglia miał słusność? — Hier irrt Zegadłowicz, jeżeli nie twórca *Fausta*, — to conajmniej jego tłumacz.

Drugi przykry przypadek, to p. Rusinek. Mniemałem, że pogląd na świat tego wzruszającego kronikarza nędzy ludzkiej jest szczerze katolickim, a odkryłem do tego liczne powody. Przepraszam mocno za mimowolną obrazę, — jeżeli wszakże zawiniłem. Inne moje błędy istnieją wyłącznie w rycerskiej i bojowniczej fantazji p. Skińskiego. Maria Dąbrowska, Juliusz Kaden-Bandrowski — których działalność literacką o-mówiłem w niezliczonych sprawozdaniach i artykułach niemieckich, francuskich, angielskich i holenderskich — nie mogą być zaliczni do literatury katolickiej. „Pominięcie Dąbrowskiej” jest tak samo usprawiedliwione, jak pominięcie Homera czy Li-Taj-Pego, z których każdy był dość tegim matadorem poezji. A p. Naglerowa — którą bardzo lubię za świetne dzieje epoki pipidowskiej — i p. Flukowski, *que diable voudraient-ils faire dans cette galère?*

Nonszalancja, nie moja, przeszkodziła p. Skińskiemu widocznie przy wertowaniu mojej nędznej pracy — duch Li-Taj-Pego budzi w moim sercu chińską grzeczność — a bardzo stary, bardzo uczony pan recenzent nie spostrzegł, że głupia książka moja jest nie tylko obrazem katolickiej polskiej literatury pięknej z lat powojennych, lecz także pierwszym i jedynym przeglądem katolickiej prozy historycznej, krytycznej i filozoficznej tego, naszego okresu. A nazwiska takich uczonych jak np. Wład. Leopold Jaworski, Zdzisławski, ks. Michalski, Kleiner, Sinko, Pigoń, Borowy, Wędkiewicz, Konrad Górski, Halecki, nazwiska krytyków tej miary co Jerzy Braun i Koniński są bez wątpienia wielką chlubą polskiej literatury katolickiej.

Dodaje jeszcze nawiasem, że „niewca Lilavati” nie będzie mocno zdziwiony, znajdując omówienie swych „figielków” w moim dziele — bo p. Jeleński prosił mnie wyraźnie o uwzględnienie tej pracy. Narzeczcie jeżeli p. Skiński rozpoznaje w moich „westchnieniach i biadaniach” „dziwne teatralnych” ton *Dzwonka Czestochowskiego*, niech mi wolno będzie cytować innego śędziego, który pisze, że (nie ja zgubiłem się w westchnieniach i biadaniach, ale że) „szerza publiczność katolicka, dla której książka jest przeznaczona, odetchnie przy jej lekturze ze — *Zmór* ks. Pirożyńskiego i dra Lechnickiego i znajdzie w niej spokojnego wykwintnego przewodnika, którego liberalność ma pokrycie w firmie nakładowej księży Jezuitów” (Prof. Tadeusz Sinko w *I. K. C.*).

OTTO FORST DE BATTAGLIA

## JAK PRZEDŁUŻYĆ URLOP

Urlop, to odnowienie tkanek organizmu przez usunięcie ze krwi trujących produktów przemiany materii. Racjonalny plan, jak w krótkim czasie przywrócić organizmowi maksimum sprawności, podaje broszura *Dra med. K. Dobieckiego „Przemęczenie a zła przemiana materii”*, WARSZAWA, NOWY-SWIAT 5 M. 6.

## Książki nadesłane do Redakcji

### HISTORIA

ANTONI MILLER: *Pierwsza Porozbiorowa Konspiracja Litewska. Spisek Ks. Ciecierskiego, przeora Dominikanów Wileńskich (1796—1797)*. Studium historyczne. Kraków 1936. Nakład i własność OO. Dominikanów w Krakowie.

### EKONOMIA. NAUKI SPOŁECZNE. PUBLICYSTYKA

LUDWIK LANDAU: *Bezrobocie i stopa życiowa ludności dzielnic robotniczych Warszawy*. Warszawa 1936. Instytut Spraw Społecznych. Sprawy rynku pracy i bezrobocia — Nr. 8.

*Ze stosunków kulturalnych polsko-węgierskich*. Pobyt prof. dr. Bálinta Hómana, Ministra W. R. i O. P. Królestwa Węgier w Polsce w listopadzie 1935 roku.

ANDRZEJ WIERZBIcki: *W terenie i z trybuny*. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”.

HENRYK ROWID: *Młodzież współczesna w świetle własnej opinii*. Uwagi o kulturze młodzieży szkół średnich. Kraków 1936. Gebethner i Wolff.

STANISŁAW MIŁKOWSKI: *Walka o nową Polskę*. Warszawa 1936.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT: *Jego Dławiąca Mość... Kryzys*. Warszawa 1936. Tygodnik „Dziś i Jutro”.

BRUNO WINAWER: *Podróże na gapę*. Warszawa. Wydawnictwo Współczesne.

WINCENTY RZYMOWSKI: *Prawo do życia a powinność pracy*. Warszawa 1936. J. Przeworski.

ZDZISŁAW TARGOWSKI: *Rada Spółdzielcza. 1921—1936*. Warszawa 1936. Nakł. Sp. Wyd. „Spółnota Pracy”.

*Apostol Młodzieży ks. Edward Szejniewicz*. Poznań 1936. Księg. św. Wojciecha.

MIECZYSLAW SZERER: *Sprawiedliwość...* Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”.

TADEUSZ LUBIENSKI: *Przeurót ustroju polskiej wsi*. Kraków 1936. Skł. gł. D. K. P. w Warszawie.

ADAM PIASECKI: *O zatrudnieniu młodzieży kończącej wyższe studia*. Materiały Komisji studiów Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej. Zeszyt 1. Warszawa 1936.

### VARIA

ZYGMUNT ŻEGILEWICZ: *Projekt reformy alfabetu polskiego*. Warszawa 1936. Skł. gł. „Nasza Księgarnia”.

### KSIAZKI O POLSCE

ROSA BAILLY: *Au Coeur de la Pologne. Petites Villes, Châteaux, Campagnes*. Paris 1936. Editions des Amis de la Pologne.

### WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

LUDWIK CHMAJ: *Słacy wśród Braci Polskich*. Katowice 1936. Polski Śląk — Odczyty i rozprawy 19.

ZBIGNIEW WASILEWSKI: *Znaczenie dróg wodnych dla przemysłu śląskiego*. Katowice 1936. Zagadnienia gospodarcze Śląska — Odczyty i rozprawy 5.

LEON KOCZY: *Związki handlowe Wrocławia z Polska do końca XVI wieku*. Katowice 1936. Polski Śląk — Odczyty i rozprawy 18.

### WYDAWNICTWA PERIODYCZNE

*Nauka Polska — jej potrzeby, organizacja i rozwój*. Tom XXI. Wydawnictwo Kasy imienia Mianowskiego — Instytutu Popierania Nauki. Warszawa 1936.

*Organon*. International Review. I. Published by The Mianowski Institute for the Promotion of Science and Letters. Editor: Stanisław Michalski. Warsaw 1936.

PION NALEŻY ABONOWAĆ LUB NABYWAĆ W KIOSKACH LUB ŻĄDAĆ GO W CZYTELNIACH, CUKIERNIACH I RESTAURACJACH.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI